

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ŚLEPA BABKA

STANISŁAW GROCHOLSKI

Wspomnienia generała Klemensa Kołaczkowskiego.

Księga II-ga od 1813—20 (Kraków, 1899).



Księżę drugą swych wspomnień rozpoczyna generał Kołaczkowski od opisu odwrotu Francuzów z terytoriów Księstwa Warszawskiego. Odwrót ten znać służył swe ślady porażkami i stratami znacznymi, które wojsko francuskie zamieniały w bezwładną masę, nie mogącą myśleć o poważnym oporze. Mimo nieprzyjajnych okoliczności, część korpusu księcia Poniatowskiego tak dalece zreorganizowana została, że stanąć mogła na linii bojowej. Składała się bowiem z 10,000 żołnierzy z odpowiednią artylerją; pomiędzy nimi były 3,000 jazdy, po większej części regularnej, a w mniejszej z pospolitaków złożonej. Korpus ten, należycie sformowany, pod wodzem tak popularnym, zakryty Pilicą, w stanowisku bocznem od linii operacyjnej nieprzyjaciela, w kraju własnym, długo się powinien był utrzymać. W najgorszym razie byłby odwrócił część sił nieprzyjacielskich, które w kilka miesięcy później potykały się pod Lützen i Budziejowicami. Ale księżę Poniatowski nie potrafił się oprzeć zręcznym podstępom i, krótko zabawiwszy w okolicach Częstochowy, zaczął się cofać ku Krakowu i skoncentrował się naokoło miasta.

W połowie kwietnia (1813) wojska austriackie, z 3,000 ludzi złożone, pod komendą księcia Schwarzenberga, a później generała Fickelmona, zbliżyły się pod Kraków, tak, iż linie białe obozowe, na górach Prądnika rozłożone, ze stanowiska księcia Józefa dostrzedz było można. Myśl rozpaczliwa napadnięcia w nocy na obóz austriacki podana została księciu Poniatowskiemu przez gorętsze umysły sztabu jego. Ale zimna rozważa i obawa politycznych skutków, oraz deklarowanie się Austrii przemogły. Nareszcie zawarto w końcu kwietnia konwencję, mocą której wojsko polskie etapami postępować miało przez Galicję, Śląsk austriacki, Morawy i Czechy, ku granicy saskiej. Oficerowie, podoficerowie i kilkudziesięciu żołnierzy, dla utrzymania karność i porządku, mieli zachować broń. Resztę broni wieść miano za kolumnami. Żywność, furaz i kwatery miał król saski wskutek konwencji wynagrodzić cesarzowi austriackiemu.

W pochodzie przez Galicję, nie dochodząc do Bielicy, spotkaliśmy, pisze autor, generała Sokolnickiego, wysłanego do nas przez Napoleona, z wiadomością o wygranej pod Lützen. Wiadomość ta pomyślna pokrzepiła wszystkich. Księżę Poniatowski wahał się nawet, czy nie zatrzymać ruchu kolumn naszych i nie powrócić do Krakowa. Ale Austriacy żadną miarą na to pozwolić nie chcieli i wymagali od nas ścisłego dotrzymania konwencji, oraz do dalszego pochodu naglili, grożąc, w razie zastanowienia naszych kolumn, rozbrojeniem wojska. Musieliśmy uleść i dalej się posuwać. W Czechach zaczęli emisariusze austriacy, w zмовie z mieszkańcami, odmawiać nam żołnierzy. Powstała wielka dezercja w naszych szeregach, a gdy kary dyscyplinarne nie pomogły, księżę Poniatowski, chcąc złemu zapobiedz, odrazu zwołał sąd wojenny, który dwóch żołnierzy skazał na rozstrzelanie. Wyrok ten był wykonany w przytomności mieszkańców. Stąd nastąpiło wielkie między nimi wzburzenie, i nie mogli pojąć, że wódz polski prawo śmierci śmie wykonywać w państwie cesarskiem. Z tem wszystkiem przykład, tak energicznie dany, powstrzymał dezercję.

Po przybyciu na miejsce przeznaczenia cały korpus ósmy księcia Poniatowskiego wynosił 14,510 ludzi. Kołaczkowski odebrał przeznaczenie na adjutanta inżynierów przy boku generała Umińskiego, komendanta przedniej straży ósmego korpusu. Umiński był surowym przestrzegaczem karność wojskowej, znał dobrze służbę konnicy, był czynnym, pilnym i przebiegłym, ale żadnego nie miał wyobrażenia o służbie innych broni. Dlatego też, nie pochlebając sobie, pisze autor, przybycie moje do jego korpusu było mu przyjemnem i pożytecznem. Przyczyniła się do dobrego przyjęcia osoby mojej dawna zażyłość ojca mojego z generałem, dawnym towarzyszem młodości. Przednia straż była powierzona generałowi Umińskiemu, i na jej czele spotykał się z nieprzyjacielem naprzód pod Friedlandem, a potem pod Reichenbergiem. Zachowanie się generała Umińskiego w tej kampanii chwali Kołaczkowski, nie odmawiając mu

energii i przedsiębiorczości; w każdym razie pomawia go o niepotrzebne okrucieństwo, które zniechęcało do niego żołnierzy.

Z młodych wojsk Księstwa Warszawskiego odznaczył się pułk Krakusów, zdobywszy sztandar pułku pruskiego. Wkrótce po tym czynnie cesarz przybył zobaczyć Krakusów. Na widok ich małych koników nie posiadał się ze śmiechu. Generał Umiński pośpieszył ku niemu dla zdania raportu. „Chcę zlustrować ten pułk, jest on dobry, wyborowy; czy wiesz pewno jaka jego siła?”—rzekł do Umińskiego. Przyjechawszy przed front, przyjęty został okrzykiem: „Niech żyje cesarz!” Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał konia jednego rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wojłokiem, jeszcze się bardziej śmiać począł i, obróciwszy się do Caulincourt'a, zawołał: „Oto ludzie, co na takich koniach biją Prusaków i zabierają im sztandary! to przecież dzielna jazda i dzielny naród ci Polacy!” Do Umińskiego zaś powiedział: „Generale! muszę mieć takich 3,000 ludzi,” a gdy generał Umiński odrzekł, iż takich koni nie znalazłby w Saksonii, cesarz na to: „Ale cóż, za pieniądze można wszystkiego dostać! Każę panu dać odpowiednie fundusze, i niema o czem gadać: muszę mieć takie konie!” Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał, powtórzył: „Właśnie oglądałem pańską jazdę pigmejską; muszę mieć 3,000 podobnej.”

Dalsze poruszenia straży przedniej pod dowództwem Umińskiego opisał Kołaczkowski bardzo szczegółowo, i ta część jego wspomnień będzie miała dla historii kampanii 1813 r., a przynajmniej dla ósmego korpusu rzeczywistą wartość. Natomiast bitwa Lipska jest opisana chaotycznie. Autor chciał przedstawić całkowite działania wojsk sprzymierzonych, a zaniedbał czynności korpusu ósmego. To jednak, co Kołaczkowski widział na swoje oczy, potrafił skreślić malowniczo, i kilka barwnych obrazków spotykamy w jego opisie bitwy Lipskiej. Jeden z nich, przedstawiający ostatni dzień gorących bojów, pozwolę sobie przytoczyć: Przepędziwszy noc na biwaku, pisze autor, przy generale Umińskim, na drodze do Grimma, udałem się zrana razem z nim do Lipska, gdzie odwiedziliśmy rannych kolegów naszych. Potem wyjechaliśmy z miasta bramą Petersthor. W alejach, między tą bramą a bramą Grimma, stała stara gwardya francuska i najspokojniej goliła się i pudrowała sobie głowy, mając zwierciadła przytwierdzone do leje. Kule armatnie zaczęły warczeć nad ich głowami, ale oni najspokojniej harcapy sobie stroili. Dopiero, gdy bębny uderzyły apel, grenadyerzy armii wzięli broń na ramiona i w ściśniętych kolumnach przeszli ulicami, pominawszy Peterską, ku Altransztadzkiej bramie.

Następnie, opis wysadzenia mostu i śmierć księcia Poniatowskiego nie zawiera nic nowego, choć skreślony jest żywo i podaje dość szczegółów. Potem zaraz spotykamy ustęp, rzucający dość światła na zachowanie się wojska po śmierci wodza. Oto co pisze Kołaczkowski: „W czasie tej śmiertelnej katastrofy, piechota nasza ciągle walczyła w ulicach przed Peterską bramą; zewsząd otoczona, sformowała się nareszcie w małą kupkę, w liczbie jeszcze 500 ludzi. Były tam pułki: 15 pod dowództwem pułkownika Macieja Rybińskiego, 16 pod majorem Bolestą, 8 pod pułkownikiem Ostrzeżewiczem, pułk 1 pod pułkownikiem Łubińskim. Gdy niepotrzebnie ludzi tracono od ognia nieprzyjacielskiej piechoty, a nawet od niemieckich naszych sprzymierzonych, chcieli nasi dowódcy przynajmniej w polu z bronią w ręku kapitulować. Stali spokojnie w kolumnie ściśniętej, na ramieniu broń, o pół strzału kartaczowego od dział, wymierzonych przeciwko nim, otoczeni dokoła kolumnami rosyjskimi, austriackimi i pruskiemi. Nie śmiał nieprzyjaciel uderzyć na tę garstkę bohaterów w rozpacz. Zbliżył się nareszcie generał Paskiewicz i żądał zdania się na łaskę, ale gdy nie mógł dogodzić żądaniom dowódców naszych, nawinął się fligieladjutant cesarza Aleksandra, za którego radą wysłali dowódcy polscy pułkownika Rybińskiego do cesarza. Kiedy wszedł na rynek lipski, zastał cesarza Aleksandra otoczonego monarchami sprzymierzonymi.—Czego żądacie?—zapytał cesarz.—Najj. Panie,—odpowiedział Rybiński w języku francuskim—pięćset Polaków, odciętych i otoczonych, składa broń u stóp W. Ces. Mości, któremu należy się zaszczyt wygranej. Zachowaj, Naj. Panie,

żołnierzom naszym te godła honoru, które oni nad życie cenią. Los nas poddaje W. Ces. Mości, ale gotowi jesteśmy w stanowczej dla nas chwili bronić tych godeł do ostatniego tchu naszego.“ Patrzył w czasie tej mowy cesarz surowo na Rybińskiego, potem z łagodnością rzekł: „Zgoda.“ Tym sposobem dokonane zostało poddanie się garstki naszej piechoty; złożyli broń, orły znikły, zatrzymali swe znaki i ubiór żołnierze i, pożegnawszy obok nich leżących rannych swoich i przyjaciół Francuzów, również rannych, poszli do niewoli.

Następnie Kołaczkowski opowiada ciekawe szczegóły o przegniebieniu i zniechęceniu, jakie ogarnęło szczątki wojska polskiego po śmierci księcia Poniatowskiego. Generał Sokolnicki, który naówczas był głównodowodzącym, czuł dobrze, iż najpierwszem jego zadaniem jest uspokoić umysły, wzburzone po utracie ukochanego wodza. Potem jednak, gdy zebranych dowódców przedstawił chęć napadnięcia w nocy na obóz austriacki, zaczęli mu tłumaczyć, iż żołnierze i konie po 5-dniowych bojach i po tylu poniesionych stratach, strudzeni do upadłego, niezbędnie potrzebują odpoczynku. Projekt Sokolnickiego ze znużonym żołnierzem mogłoby łatwo klęskę sprowadzić i do większego rozprzężenia dać powód. Gdy generał Sokolnicki obstawał przy swoim i zaczął dowódców wydawać instrukcje, wówczas wystąpił generał Krukowiecki, znany oddawna w wojsku z niesforne go umysłu, dla podkomendnych przykry, starszym zawsze nieposłuszny, i zabrał głos, a wsparty przez generała Kwaśniewskiego, krzykacza z czasów Madalinskiego, oświadczył wręcz generałowi Sokolnickiemu, iż wojsko za nim nie pójdzie. „Dosty tych podbojów, — rzekł — wszystko oddawna stracone, trzeba wam myśleć o zachowaniu tych szczątków walecznego wojska dla ojczyzny.“ Generał Sokolnicki, przekonawszy się o tak niemięznym usposobieniu, odstąpił od pierwotnej myśli i poprzestał na wydaniu najściślejszych rozkazów strzeżenia się tej nocy. Nad ranem, generał Krukowiecki, nie zameldowawszy się swemu dowódcy, od żadnego z kolegów nie upoważniony, pojechał do głównej kwatery cesarskiej, do Altrandstadt i zastał cesarza w karecie wśród gwardyi. Zbliżywszy się, oświadczył mu w imieniu wszystkich dowódców polskich, iż do generała Sokolnickiego żadnego nie mając zaufania, proszą, aby cesarz dowództwo nad nimi powierzył ks. Sułkowskiemu. Cesarz, dobrze obeznany z podobnymi scenami pomiędzy oficerami legionów polskich w czasie kampanii włoskich, lekko te oznaki niesubordynacji pominął i odpowiedział dość obojętnie: „Dobrze, niech książę Sułkowski obejmie dowództwo nad Polakami, skoro im tak do gustu przypada.“

Pochwyciwszy tę odpowiedź, generał Krukowiecki przybiega do polskiej jazdy i słowa cesarskie generałowi Sokolnickiemu przekazuje. Zaczyna wódz, żalem przejęty na tę wiadomość, nie wyrzekłszy ni słowa, odstąpił komendy księciu Sułkowskiemu i do swojej dywizyi

powrócił. Książę Sułkowski szkaradnym tym podstępem Krukowieckiego i kilku podrzędnych intrygantów, którym się bić nie chciało, wodzem naczelnym mianowany, nie był człowiekiem odpowiadającym tak trudnemu zadaniu, jakim jest komenda rozprzegającego się wojska. Waleczny wprawdzie na polu bitwy, pięknej, ujmującej, prawdziwie książęcej postawy, był pełen drobiazgowej pychy i bardzo słabego charakteru. Powodowany zawsze zdaniem najbliższych, otaczających go osób, sam nie miał żadnego i w ważnych momentach ciągle się wahał.

Wnet znaleźli się intryganci, którzy, słabą stroną księcia Sułkowskiego zbadawszy, użyli go za narzędzie do swoich podłych zamiarów. A nic innego w myśli nie mieli, tylko opuszczenie szeregów Napoleona, nie doszedłszy do Renu. Na czele tych intryg podziemnych stanął generał Krukowiecki, opanowawszy umysł Sułkowskiego i jego wpływowego adjutanta Zbijewskiego. Krukowiecki coraz natarczywiej przedstawiał Sułkowskiemu potrzebę dania wojsku jakiejś ręką, że nie będzie poświęcone nakształt legionów włoskich, aż nareszcie, gdy dezercja między żołnierzami i oficerami wzmagać się zaczęła, gdy batalion grenadierów gwardyi polskiej, wcielony do gwardyi cesarskiej, jednej nocy z pułkownikiem swoim Kurcyuszem przeszedł do nieprzyjaciela, ks. Sułkowski, zebrawszy korpus oficerów zaręczył im uroczystie, słowem honoru, iż do Renu tylko towarzyszyć będzie cesarzowi, a stamtąd odprowadzi ich do ojczyzny.

Wiadomo, iż ks. Sułkowski danego słowa dotrzymać nie był w stanie. Podał się zatem do dymisji i otrzymał ją. Gazety ówczesne niemieckie wiadomość o tem w następujących doniosły słowach: „Książę Sułkowski, naczelnie dowodzący wojskiem polskim, w dniu tym przeszedł do wojsk sprzymierzonych.“ W drodze do Hannau, medaleko Gelhausen, cesarz, spotkawszy generała Dąbrowskiego, przywitał go temi słowy: „Jak się masz, stary druhu! oddałem dowództwo nad Polakami temu niegodnemu księciu Sułkowskiemu, zawiódł moje zaufanie, i kazałem go odprowadzić do forpoczty nieprzyjacielskich. Tobie, stary przyjacielu, powierzam dowództwo nad wojskiem polskim, ty je przez Ren przeprowadzisz, oddaję wam na leże zimowe Sedan z okolicą.“ Tej mowie cesarza Kołaczkowski był przytomny.

Do kampanii 1814 r. księga pamiątnicza Kołaczkowskiego nie dorzuca nowych szczegółów. Również wspomnienia jego aż do 1820 r. mało posiadają dla historyka wartości. Z tem wszystkiem do przebiegu kampanii 1813 pamiątniki Kołaczkowskiego dają dużo nowego światła. Autor kreśli żywo i barwnie postacie wybitnych wojowników polskich. Zdarzenia i bitwy, w których brał udział, opisał gruntownie i ściśle. Dla historii wojny w 1813 r. druga księga wspomnień będzie miała niezaprzeczoną wartość.

A. REMBOWSKI.

Z tygodnia na tydzień.

Nietakt „Kraju.“

Dokończenie „Krzyżaków“ przez Sienkiewicza zainteresowało ogół, to też nie dziwnego, że wiele pism, pragnąc czytelnikom swoim sprawić przyjemność, przedrukowało końcowe ustępy tej wspaniałej epopei, która, jak wiadomo, ukazała się w całości w „Tygodniku Ilustrowanym“, a współcześnie, z małym opóźnieniem, wychodziła w „Słowie.“

Wszystkie atoli pisma, przedrukowując koniec „Krzyżaków“ z „Tygodnika“, zaznaczały jasno, otwarcie i uczciwie, skąd cytaty biorą. Jeden „Kraj“ petersburski zapomniał o tym ważnym „drobiazgu“, i dając w Nr. 29, na str. 407, zakończenie „Krzyżaków“, nie raczył wymienić „Tygodnika Ilustrowanego“ jako źródła, z którego bez ceremonii cytata na swoje szpalaty przeniósł. Naturalnie, nie wymieniwszy „Tygodnika“, nie mógł wymienić i „Słowa“, które dawało, według umowy, tylko przedruk z naszego pisma. Tym sposobem, zakończenie „Krzyżaków“ ukazało się na łamach „Kraju“ niewiadomo skąd...

Ze postępowania podobnego przyzwolitem nazwać nie można—dowodzić nie potrzebujemy. Je-

żeli przy przedruku najdrobniejszej informacji reporterskiej nietylko *etyka*, lecz i *prawo* wymaga podania źródła, to cóż mówić o wyjątkowym arcydziele sztuki?!

Przecież powieść ta w wydaniu książkowym polskim dotychczas się nie ukazała, jedynem więc źródłem, z którego „Kraj“ mógł w danym wypadku czerpać, były numery „Tygodnika.“

Zapytujemy: dlaczego redakcja „Kraju“ nie raczyła tego faktu uwzględnić?

Jeżeli się napisało, że „Sienkiewicz swoją powieść zakończył“, to choćby dla wiadomości czytelników należało dodać, *gdzie* ją zakończył. Jeżeli się pisze: „przytaczamy ustęp końcowy“—to należało dodać—*skąd* przytaczamy. Tak zrobić nakazywała nietylko przyzwoitość, lecz i logika.

»

W sprawie kobiet upadłych.

Z wielu stron ozwały się u nas ostatnio głosy w sprawie kobiet upadłych, a w kilku kołach, niezależnie od siebie działających, powstały projekty założenia Towarzystwa opieki nad niemi (Zielony krzyż). Już to jedno może być dowodem, jak sprawa ta coraz natarczywiej nasuwa się

uwadze czującego ogółu, jak żywo pobudza jego zmysł etyczny—poczucie sprawiedliwości i wrażliwość na hańbę i niedolę istot pokrzywdzonych.

Świeżo „Delegacja pracy kobiet“ obradowała w sprawie kobiet upadłych, a to dzięki referatowi p. T. Męczkowskiej, poświęconemu ich położeniu. Zwracam tu przedewszystkiem uwagę na wnioski ostateczne autorki referatu, treść jego bowiem, będąca tylko ogólnikową charakterystyką faktu prostytucyi, oraz zaznaczeniem głównych przyczyn złego, nie mieści nadto nic takiego, co by nie było powszechnie znanem.

Wnioski przedstawione formułują poglądy na środki walki ze złem w ten sposób:

I) Uważamy za niezbędne obok akcyi ratunkowej, mającej na celu jednostki, rozpocząć piórem, słowem i czynem akcyę zapobiegawczą, dążącą do zmiany warunków, złe wywołujących. W myśl tego, uważamy za możliwe wprowadzenie reform wychowawczych, któreby subtylizowały (najpewniej: *wy-subtelniały*) pojęcia moralne, dążyły do podniesienia społecznego stanowiska kobiety. Za takie środki uważamy: 1) Koedukacyę (wspólne nauczanie

dla obojej płci). 2) Oddanie moralnemu wykształceniu należytego stanowiska. 3) Przy wychowaniu niepomijanie kwestyi moralności obyczajowej. 4) Szerzenie ruchu etycznego przez odpowiednie odczyty, zakładanie towarzystw i t. p.

II) Jakkolwiek uznajemy, że wszelka działalność zapobiegawcza dla podniesienia warunków ekonomicznych bytu kobiet, przy dzisiejszych stosunkach społecznych, jest tylko ratunkiem dla jednostek, uważamy jednak za pożyteczne: 1) podniesienie fachowego wykształcenia kobiet, przez zakładanie szkół fachowych, tworzenie stypendyów, ułatwiających kształcenie; 2) otwieranie biur strzeżenia pracy; 3) zawiązywanie stowarzyszeń robotnic ze wspólnymi mieszkaniami, kuchniami etc.; 4) dopuszczanie kobiet do stowarzyszeń zawodowych już istniejących.

III) Zakładanie biur obrony prawnej dla kobiet.

Wnioski te, jak widzimy, obejmują rozległą dziedzinę najrozmaitszych reform, zmierzających do obrony istoty moralnej, prawnej i interesów ekonomicznych kobiety. Zwracają się one głównie przeciwko wychowawczym i ekonomicznym przyczynom złego, docierają do jego źródeł. Wszelka idea o tem, jak działać należy, już jest zapoczątkowaniem działania.

Sądźmy, że gdy to nastąpi, nie jeden środek praktyczny będzie dorzucony do tego idealnego programu akcyi. Dobrze, że teraz choć o tym ostatnim pomyślano.

Pragnienia, rzucone z trybuny, nie prędko wchodzą w życie, ale bez ich rzucania niktby się nie troszczył o ich urzeczywistnienie.

Sumienia ludzkie drzemają, albo obojętnieją na złe, albo odwracają od niego oczy, należy je zatem co czas jakiś wstrząsać i w środek nędzy życia prowadzić. Dlatego uważamy sam fakt poruszenia sprawy kobiet upadłych w „Delegacyi pracy kobiet“ za rzecz pierwszorzędną wagi, za impuls poważny do działalności podniosłej na korzyść istot ludzkich, najbardziej nieszczęśliwych i wydziedziczonych.

Może kiedyś będziemy mogli szerzej pomówić o niektórych, poszczególnych punktach referatu, teraz poprzestajemy na tem, cośmy powiedzieli wyżej, dodając, że autorka nie uwzględniła, nie wiadomo z jakich powodów, tak ważnego przedmiotu, jak *polityka obyczajowa*, z którą, jako

z jedną z najohydniejszych przyczyn niewoli kobiet upadłych, walczą wszędzie ci, którym chodzi o poprawę ich położenia.

wj



Słótko w kwestyi palącej.

Pedagogika, zajmująca się żywotną kwestyą wychowania nowych pokoleń, nie pozostaje w rozwoju za innymi naukami i wymaga dla siebie wyłącznego organu. We Francyi, Niemczech lub Anglii potrzebie tej czynią zadość liczne specjalne pisma. U nas kwestya ta staje się z każdą chwilą bardziej potrzebną. Co prawda, rok rocznie w handlu księgarskim ukazują się oryginalne lub przyswojone dzieła z zakresu pedagogiki, brak nam wszakże czasopisma, któreby zaznajamiali szerszy ogół z ostatnimi wynikami wiedzy, podawało wskazówki i pokarm dla tych, co się kwestyą wychowania zajmują, zachęcało do pracy, do serdeczniejszego oddania się jej wszystkim tym, którzy ją jak rzemiosło traktują.

Próby pisma, poświęconego sprawom wychowania, były u nas, ale przeważnie niefortunne, nie odpowiadały one wymaganiom ogółu, nie zaspokajały jego potrzeb, nie dawały zachęty do głębszych studyów. Należy się więc zastanowić nad celem pisma pedagogicznego u nas i środkami, które do niego prowadzić winny.

Studia nad dziełami z zakresu pedagogiki i nauk z nią pokrewnych dają zwykłą podstawę naukową, grunt, na którym budować można, dają obraz przeszłych doświadczeń, wskazują cele, ideały, ale: 1) nie dostarczają dostatecznej ilości materiału praktycznego, 2) nie mogą dawać szybkiego sprawozdania z chwili bieżącej, nie odzwierciedlają dość prędko postępu.

Pismo więc peryodyczne, opierając się zawsze na teorii, powinno wypełniać te braki, iść z postępem.

Program jego musi być szeroki, a także powinien uwzględniać potrzeby danego społeczeństwa. Opierać się ma na podstawie gruntownej, więc też nie należy żałować miejsca na artykuły naukowe, niechaj one dostarczą pokarmu czytelnikom, pogłębia ich wiedzę, zachęca do dalszych studyów. Pod tym ostatnim względem niezmiernie pomocne będą szczegółowe, a prędkie sprawozdania z literatury pedagogicznej, czy to w książkach, czy w pismach zawartej, w kraju lub za granicą się ukazującej. Artykuł każdy, dotyczący się

pedagogiki, nawet w jakimkolwiek dzienniku zamieszczony, powinien znaleźć choć krótką wzmiankę w organie wychowawczym.

Naturalnie sprawozdania z literatury zagranicznej muszą być traktowane cokolwiek odmiennie: tu należy zwracać uwagę na rzeczy wyborowe, na dzieła lub artykuły wartościowe, na zmiany radykalne, podczas gdy w kraju muszą być uwzględniane nawet rzeczy drobne, które się jednak przyczyniają do pełności obrazu, a więc wszelkie rozporządzenia rządowe, zmiany programów, dane statystyczne i t. p.

Co się tyczy poszczególnych spraw, to niechaj kwestyę metodyczne ustąpią pierwszeństwa kwestyom ogólnowychowawczym, a przedewszystkiem kwestyom etyczne poważne miejsce, czy to w artykułach, czy sprawozdaniach, zająć powinny; stąd też wypłyne dział, któryby „Poradnikiem wychowawczym“ nazwać można.

Każdy, kto się praktycznie kwestyą wychowania zajmuje, spotyka trudności, nad których rozwiązaniem się mozoli, waha się, chciałby zrobić jak najlepiej, a trudno mu z ogólnych zasad wyciągnąć praktyczny środek, któryby w danym wypadku zastosować można. Sumienna redakcja, wzbudzająca zaufanie przez poważne i głębokie traktowanie wychowania, czy to wogóle w artykułach, czy też odpowiedziach na pytania czytelników, będzie miała doniosłe znaczenie. Do niej każdy wychowawca zwróci się z ufnością, nie wątpiąc, że znajdzie wskazówkę, a może nawet zachętę.

W „Poradniku“ nie potrzebuje się redakcyi ograniczać jedynie odpowiedziami na pytania; może i powinna rozwijać samoistnie wszystkie działy wychowania i nauczania. W każdym razie niech materiały, zamieszczony w piśmie, ma zawsze jasny i wyraźny cel, niech nie zawiera działu, który może się komuś przydać, ale prawdopodobnie nikt i nigdy korzystać z niego nie będzie; niech zawiera to jedynie, co z naukowego, lub praktycznego punktu widzenia może być pożyteczne dla wychowawcy, a wyłącza felieton, który nie ma żadnej racji bytu. I tak nie zabraknie materiału, obok bowiem artykułów teoretycznych lub bardziej praktycznych, pismo powinno dać nam obraz stanu wychowania i nauczania u nas i za granicą. Tu miejsce na programy szkół, o których szerszy ogół ma nader mgliste pojęcie, na metody wychowania i nauczania w rozmaitych instytucjach naszych lub zagranicznych i t. p.

Obraz ten nie powinien się zamykać w ciasnych granicach; niech on uwzględni nauczanie ludowe, szkoły elementarne, które wciąż szersze rozmiary przybierają. Niech to będzie obraz zupełny, plastyczny, żyjący.

Pismo, w ten sposób prowadzone, nie spotka się z obojętnością ogółu; można rzec, że znajdzie ono echo w kołach najszerszych, znajdzie miejsce w każdym domu, gdzie się kwestyą wychowania zajmują; będzie kierownikiem, przyjacielem, nawet powiernikiem.

Jeszcze słowo. Aby pismo to spełniło swe zadanie, potrzeba, żeby redaktorem jego był fachowy pedagog, nie tylko praktyk, lecz koniecznie i przedewszystkiem teoretyk, człowiek wykształcony filozoficznie, któryby czas, zdolności, duszę włożył w swoje pismo, pracę nad niem uważał nie jako zajęcie dodatkowe, lecz jako oś swego życia, i był istotnym kierownikiem i pośrednim wychowawcą młodych pokoleń. Musi on być człowiekiem wyraźnych przekonań, co jednak nie powinno odstręczać ludzi inaczej myślących, tem bardziej, że możnaby zostawić rubrykę dla *głosów wolnych*, choćby przekonań przeciwnych. Każdy objaw życia, mający związek z wychowaniem, powinien być w odpowiedni sposób oświetlony, każde oderwanie się pism innych wzięte pod uwagę, a w takim tylko razie wpłynie pismo na wyrobienie opinii publicznej, która dzisiaj nie jedno złe toleruje.

A. W.



Zjazd wioślarzy w Warszawie (komitety).

Patrz „Kronika powszechna.“

Alexander Kraushar.

DAWNE PAŁACE WARSZAWSKIE.

PAŁAC BŁĘKITNY (ORDYNACYI hr. ZAMOYSKICH).

II.

Pałac Błękitny w rodzie Czartoryskich.—Działy rodzinne.—Książę Generał Ziem Podolskich.—Ognisko towarzyskiego życia Warszawy.—Bernoulli.—Pamiętki.—Kronika pałacu u schyłku XVIII w.—Podczas wielkiego sejmku.—Echa Targowicy.—Mieszkanie księcia Józefa i Kościuszki w pałacu.—Podania o dymisie.—Zgon tragiczny ks. Teresy.—Ks. Zofia za Stanisławem ordynatem Zamoyskim.—Ordynacya.—Nabycie pałacu dla Ordynacyi.—Przebudowa z r. 1815.—Cesarz Aleksander I.—Bal.—Biblioteka i zbiory ordynackie.



ie siedzibą uciech bezmyślnych i festynów, lecz przybytkiem nauki i towarzyskiej oglądy stał się pałac Błękitny z chwilą, gdy Adam książę Czartoryski, generał Ziem Podolskich, założył tu wspaniałą bibliotekę i zaczął podejmować u siebie uczonych, przybywających do Warszawy.

Z mocy działów rodzinnych z siostrą rodzoną, Izabelą z Czartoryskich księżną Lubomirską, dopełnionych w roku 1782, pałac Błękitny pozostał w linii męskiej rodu Czartoryskich i jedynie z mocy wspólności małżeńskiej przepisany był i na żonę księcia generała, Izabellę z Flemingów.

Mamy w opisie podróży po Polsce uczonego Jana Bernoullego kilka wspomnień o trybie życia rodziny książęcej. Lhuiller, matematyk z Genewy, był ochmistrem młodych książąt: Adama Jerzego (późniejszy. ministra spraw zagran. Państwa Rosyjskiego) i Konstantego. Podczas jednej z wizyt, Bernoulli zastał w pałacu moc gości, ale najwięcej zajęła go biblioteka, gdzie znalazł mnóstwo ciekawych i kosztownych dzieł, oraz wiele osobliwości. Opisuje wspaniałe malatury nade drzwiami, kominkami i na sufitach.



Izabella z Flemingów Czartoryska.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).



Pałac Błękitny dzisiaj.

Znalazł tam również w jednym z pokoiów obrazy miłostek Augusta. (Liske, „Cudzoj. w Polsce,” str. 221).

Pałac Błękitny ówczesny nie miał takiego, jak dziś, wyglądu. Od ulicy, zamiast



Adam Czartoryski, generał Ziem Podolskich.
(Ze zbiorów Mat. Bersohna).

kratki żelaznej, oddzielały go mury wysokie, wewnątrz których mieściły się kordegardy. Architekturą swą przypominał pałac Lubomirskich, dziś Józefa hr. Potockiego, na Krak. Przedmieściu. (Dębowski: „Wspom.” I, 208).

Gdy książę generał zasiadał w komisji edukacyjnej pałac był głównym ogniskiem rozbudzonego ruchu naukowego i literackiego. Uczni cudzoziemcy znajdowali tu stałą gościnę. Tu Dupont de Nemours układał program dla szkoły rycerskiej, naukę o fortyfikacjach, oraz kurs ekonomii politycznej według Quesnay'a. Herder, uczony filozof, był pośrednikiem w sprawach dla księcia, z którym był w przyjaznych stosunkach, uczonych filologów. Taką drogą dostał się Ernest Groddeck w r. 1785 z nad Renu do Polski.

Sprowadzony z Paryża głośny malarz Ludwik Norblin ozdabiał rezydencję książęcą obrazami i freskami, i zapewne pałac Błękitny wzbogacił się twórcami jego talentu.

Tu spotkał rodzinę Czartoryskich cios straszny, gdy w roku 1780 stojąca przy kominku cudnej urody córka ich, Teresa, ogarnięta płomieniem, w oczach rodziców, mimo śpiesznego ratunku, w strasznych skonała mękach. Cios ten spowodował odsunięcie się dawniej tak światowej księżny Izabelli od ludzi i wprowadził ją w melancholię, z której się już nie podźwignęła.

Epoka wielkiego sejmku i jej epilog pozostawiły w dziejach pałacu Błękitnego znaczące ślady. W dniach upojenia przelotnego było tam ognisko przygotowujących się owacy dla sejmujących. Tu przygotowywano kwiaty i wstęgi, które z okien pałacu i z łoży księżny w sali sejmowej spadały na mówców.

Zmieniła się dekoracya po niepomyślnym wyniku kampanii 1792 roku. Wprost z obozu, na wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy, przybył do Warszawy żołnierz z pod Dubienki i stanął w pałacu Błękitnym. Stąd udał się na zamek, na ostatnią rozmowę z królem, a gdy ta, jak wiadomo, do rezultatu nie doprowadziła, z pałacu Błękitnego wyszedł szereg dymisji księcia Józefa i innych generałów, i stąd wybrano się na paroletnią tułaczkę za granicę. (Dębicki, „Puławy,” t. I, 382).

W roku 1798, druga córka księstwa Czartoryskich, Zofia, słynna z piękności i cnót niewieścich, jedna z fundatorek Towarzystwa Dobroczynności, oddała rękę synowi ex-kancelerza i ordynata Jędrzeja Zamoyskiego, Stanisławowi ordynatowi Zamoyskiemu, póź-



Zofia Czartoryska.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).

niejszemu wojewodzie senatorowi Królestwa. *)

W dniu 28 sierpnia 1811 r. Stanisław ordynat hr. Zamoyski nabył pałac Błękitny



Stanisław Zamoyski.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).

od Adama i Izabelli Czartoryskich za 8,000 dukatów, prawem własności fideikomisarnej i rozciągającego się do tejże, a ustanowionego dyplomem cesarza Józefa II w dniu 8 maja 1786 r. porządku dziedziczenia ordynacji i wszelkich jej przywilejów (Hypoteka Nr 472). Miasto Zamość odstąpionem zostało następnie przez ordynata rządowi, a dawna

*) Ordynację Zamojską ufundował w połowie XVI w. Jan Zamoyski, kanclerz. Zatwierdziła ją uchwała sejmowa za Zygmunta III w r. 1589. Akt erekcyjny, uwzględniając zasługi około założenia ordynacji brata stryjecznego hetmana, również Jana Zamoyskiego, strażnika koronnego, ustanowił, że na wypadek wygaśnięcia potomków hetmana w linii zstępnej, prawa do ordynacji przejdą na potomków strażnika koronnego. Wypadek ów nastąpił, skutkiem bezdzietnej śmierci wojewo-



Jan Zamoyski.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).

jego akademii, zamieniona na szkołę, przeniesioną została do Szczepieszyna. Pałac Błękitny wcielono do ordynacji Zamojskiej. Tutaj, staraniem ordynata Stanisława, przeniesioną była biblioteka dawna zamojska i połączona ze zbiorem Czartoryskich.

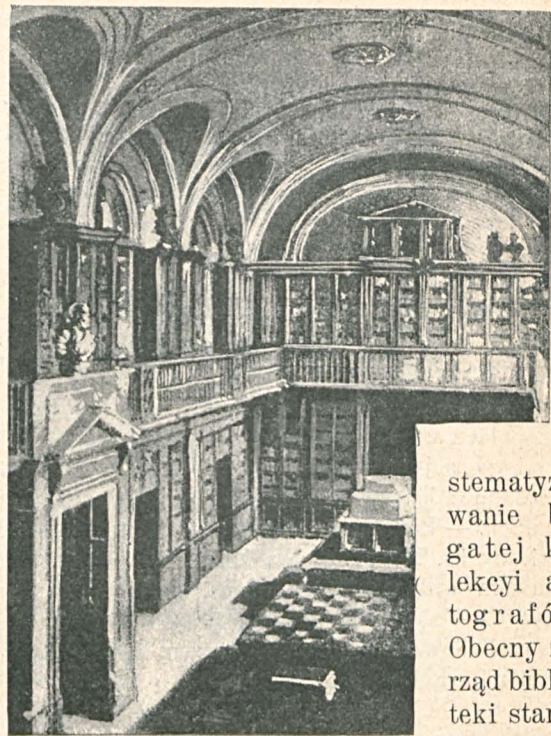
Według informacji Lelewela („Bibl. Ksiąg dwoje,” I, 164), stara owa biblioteka zamojska wynosić mogła zaledwie piątą część całego zbioru domowego; wniosła wszakże do ostatniego wiele cennych dzieł francuskich i angielskich, z małą liczbą włoskich i niemieckich. Zbiór ten, w epoce, gdy go opisywał Lelewel, mógł wynosić ośm tysięcy ksiąg.

„W całości jest wiele przepychu i powabu — pisał o nim historyk. — Sala i szafy biblieczne pięknie przystrojone i ozdobne, z wielką przynależną konserwą. Wnich księgi ustawione, z formatu, wydania (Humes), drukarza (Didota, Racin), oprawy (w Anglii) kosztowne. Dzieł przepychu najwięcej znajdziesz w historii, w podróżach, w historii naturalnej, w sztukach obrazowych. A gdy cała biblioteka bez żadnych wyjątków podzielona jest na przedmioty, jedne tylko rękopisma oddzielnie wyłączone. Gdy przedmiot każdy nie jest zapomniany, w każdym tedy przedmiocie połyskuje się coś znamienitego, coś dla przedmiotu istotnego, coś bibliografa zastanawiającego.”

Z innych szczegółów, podanych o bibliotece ordynackiej przez Lelewela, zanotować należy, „że od dołu stały dzieła ogromniejsze i więcej w oko wpaść mogące; na galerii mniej pozorne. Ode drzwi w lewo i wkoło sali, tym porządkiem przedmioty ustawione: bibliografia, filologia, historie kościelne i światowe, statystyka, geografia, matematyka i architektura, fizyka, rolnictwo, medycyna, prawo, teologia, *patres, belle-lettres*, proza i poezja, dramatyka, sztuki obrazowe, inkunabuly, rękopisma, żurnalistyka i *oeuvres*, spisane na cedulkach z należytą dokładnością.”

Był tu bibliotekarzem czas dłuższy uczeń Pawła Jarkowskiego, znany pisarz Józef Korzeniowski, po którym posadę objął Szwajcar Dutoit. W nowszych czasach bibliotekarzami ordynacji byli: Rychter Ign. Łojola, Gustaw Ehrenberg, Hubert Leopold, Józef Przyborowski, któremu, jak również i jego pomocnikowi, zmarłemu F. Mińskiemu, zawdzięcza biblioteka wzorowe skatalogowanie zbioru i usy-

dy sandomierskiego, męża Maryi Kazimierzy de la Grange d'Arquien, późniejszej żony Sobieskiego. W roku zatem 1665 linia męska pierwszego ordynata wygasła. Skorzystał z tego siostrzeniec zmarłego, Stanisław Koniecpolski, i zagarnawszy ordynację, władał nią przez lat kilkanaście. Dopiero Marcinowi Zamoyskiemu z linii strażnika koronnego udało się wyjednać uchwałę sejmową w r. 1677, przywracającą prawa ordynacji legalnemu spadkobiercy. Z tej linii, aż do objęcia w roku 1800 ordynacji przez Stanisława hr. Zamoyskiego, było jedenastu ordynatów. Stanisław ord. Zamoyski pozostawił z małżeństwa z Zofią Czartoryską († w r. 1837, we Florencji) dziesięcioro dzieci. Dzięki jego staraniom odzyskano ważne papiery rodzinne, uwiezione w roku 1667 przez Koniecpolskiego. Są w nich ważne dokumenty kanclerskie, wiele pierwszorzędnej wagi papierów, zostających w bezpośrednim związku z dziejami narodu.



Biblioteka Ordynacka.

stematyzowanie bogatej kolekcji autografów. Obecny zarząd biblioteki stanowią: pp. T. Korzon i S. Żeromski.

Według informacji ś. p. Przyborowskiego („Encykl. Illustrow.” t. VIII, 730), biblioteka ordynacka liczyła w 1893 roku 56,300 druków, między nimi: 1,050 druków polskich z wieku XVI, 1,800 rękopisów, 624 dyplomatów pergaminowych i kilkanaście tysięcy autografów.

Z innych źródeł („Wiadom. o sztukach pięk.” F. M. Sobieszczańskiego) wiadomo nam, że do najcenniejszych okazów bibliote-



Aleksander hr. Zamoyski.
(Ze zbiorów Wł. ks. Czetwertyńskiego).

ki hr. Zamoyskich zaliczają się: brewiarz, ongi w opactwie Tynieckim przechowywany i w roku 1814 przez Stanisława hr. ordynata za 1,000 złotych pols. w Krakowie nabyty. Szacowny ów rękopis in folio, z 469 str. złożony, jest pergaminowy, równomiernie łącińskimi głoskami pisany, z których uncjalne są złotem, a rozdziałowe z arabeskami.

Brewiarz ów ma niewątpliwe cechy starożytności. Musiał on być jeszcze przez pierwszych Benedyktynów, za Bolesława Chrobrego na Tyniec z za granicy sprowadzonych,



Książę August Czartoryski, wojewoda ruski.
(Z Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie).

tam przeniesiony. Jest dziełem greckim z VIII lub z początków IX wieku, na Zachodzie, najpewniej we Francji, wykonanem, o czym świadczą kształty głosek c, g, m, t, napotymane jedynie w rękopisach karlowińskich.

Niemniej starożytnym zabytkiem rękopiśmiennym biblioteki Zamoyskich jest rękopis na pergaminie in folio, z 447 str. składający się, dobrze zachowany i gustownymi malowaniami ozdobiony. Obwódki niektórych kart są w liście i kwiaty złotą farbą ubrane, w głoskach zaś uncjalnych, przez kilka linii pisanych, są miniatury, wyobrażające wizerunki świętych, w półfigurze, pięknie wypracowane.

Jest to *historia Józefa Flawiusza*, przepisana i malowana w Polsce, jak świadczy podpis pisarza w trzech miejscach (na str.



Tomasz hr. Zamoyski.

190, 307 i 447), Mateusza Benedyktyna, organisty klasztoru Tynieckiego z roku 1466.

Wreszcie perłą zbiorów jest rękopis in folio, z 287 stron, złożony, malowaniami ozdobiony, własność ongi hetmana i wielkiego kanclerza Zamoyskiego. Zawiera w sobie *żywoły arcybiskupów gnieźnieńskich* i biskupów krakowskich przez Długosza, w r. 1476 napisane, a przez Jana Joviana Pontana w pierwszej połowie XVI wieku z polecenia i sumptem Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego i vice-kanclerza koronnego przepisane. Jest to ważny pod względem historycznym i archeologicznym zabytek.

Wzbogacając zbiory ordynackie, nie zaniedbał Stanisław ordynat hr. Zamoyski i o ozdobieniu ich siedziby. On to odnowił dawny pałac Błękitny, dawszy mu dzisiejszą jego postać i przyozdobiwszy jego fronton napisem pamiątkowym.

W salonach pałacu Błękitnego w roku 1815 odbył się bal na cześć cesarza Aleksandra I-go, za pierwszego jego pobytu w Warszawie. Dwieście dam zapełniło salę, a Cesarz rozpoczął bal z księżną generałową Ziemi Podolskich. W kilka dni potem urządzili Zamoyscy festyn z obrazami żywymi, w których występowały same tylko kostiumowane dzieci. (Dębicki, „Puławy,” II, 241).

W oficynach pałacu Błękitnego długie lata zamieszkiwała Klementyna Hoffmanowa i tu najpiękniejsze swoje napisała dzieła. Mieszkali tu jednocześnie Ordyniec z Ordyncem, o których Dmuszewski swego czasu w „Kuryerze Warsz.” napisał, że „z ordynata łaski patrzą ordynkiem na ogród Saski,” na co im odpowiedziano jednakim konceptem: „że jest on zbyt płaski, bo go wydmuchał Dmuszewski, gazeciarz warszawski.”

Trwałą pamięć pozostawił po sobie w ordynacji ojciec dzisiejszego ordynata, Tomasz hr. Zamoyski († 1889). On to odrestaurował dla księgozbioru okazały pawilon i upiększył salę jego środkową, przyczem skierował starania swoje ku wzbogaceniu zbioru przeważnie działem rzeczy swojskich.



Ze zbioru „Meandrów.”



1.

—Chodź do mnie, dziewczę z mglistej dali!
Przyśnionym rajem cię otoczę,
Spójrz w jasne lodów tych przezrocze,
Gdzie w tęczach skrzący brzask się pali—
Będziemy sobie tam stawiali
Z kryształów zamki urocze.

—Ach! Tylko, proszę, niech baczymy,
By to budowa była trwała;

I niech nie pierzchnie ta jej chwała
W odpryski zórz i w mgławie dymy—
Bo niema tak powabnej zimy,
Którejby wiosna w kąt nie gnała.

A jeśli, rojąc sen dziewiczy,
Wnet mam ocknienia mieć kobiece,
Kędy nie zgadniesz: jak dalece
Dni się tam jasnych kto doliczy—
To mości miły budowniczy,
Niech cię ma Bóg w swej opiece.

2.

Dla dobrej doli uśmiech, a zaś pięście
Dla złej, mieć zwykli płochych serc duchowie;
Lecz mąż przezorny serce ma w swej głowie.
Blask nad nim wznieć, ziemię pod nim
[wstrząśnie—
Ni on nieszczęściem będzie zwał nieszczęście,
Ni szczęście szczęściem nazowie.

3.

Zdaniem Krzysztofa Jegomości,
Który, choć sam się zbłądził w zdradzie,
Gorzkie nam prawdy w uszy kładzie,
Nieuleczalnie wśród nas gości:
Wzorowa zgoda w niezgodności
I niezrównany ład w nieładzie.

4.

Gdy mówię, czując szron u czoła:
Że lat mam tyle a tyle—
To osobliwie się myślę.
Owszem—tych lat już nie mam zgola—
Bowiem któż mieć napowrót zdoła
Coś, co już w mgłę jest i w pyle?

Mam tylko przyszłość tajemniczą
Lat, których nie wiem jest ile,
Ni nawet wiem: czy te chwile
Stratą mi będą, czy zdobyczą—
I te już inni za mnie zliczą,
Siedząc na mojej mogile.

5.

Marna to jest, nawet grzeszna chwała,
Gdy podchlebcy twoją istność młodą,
Drogą pychy, w pokuszenie wiodą,
Prawiąc: żeś aniołem z wdzięków ciała.
Gdyż anielskość—trzeba, byś wiedziała—
Samej tylko duszy jest urodą.

6.

Gdy Adam, chcąc nad miarę mieć,
W bój wyzwał Pańskie Ramię,
Rzeczono mu: — Adamie!
Tyś nie jest wódz, lecz marny kміeć—
Więc w pracy trwaj i w kacie siedź,
A czart niech dyszy w jamie.

A zaś do Ewy, do pramatki,
Te słowa wyrzeczono:
— Bądź małomówną żoną,
I tylko ródz i chowaj dziatki,
Niech świat ma ciszy przykład rzadki—
A będziesz rozgrzeszoną.

Wtedy się z pochwą zrosła szabla,
Bo nikt w swej doli znojnej
Nie ufał zyskom z wojny.
A tak w kąt poszła sprawka dyabła,
Tylko, gdy Kain zabił Abła—
Wyszedł stąd—pokój zbrojny.

FELICYAN.

Adam Krechowicki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

11.)

Dlaczego? dlaczego?—powtórzył książę ze złością. — Zali nie rozumiecie? Dla Krzyżackiego Zakonu—Litwa przez Polskę, nie przez Zakon ochrzczona, Litwa połączona z krześcijańskim państwem, to utrata całego znaczenia, to postradanie na wiek wieków obszernych dzierżaw litewskich, to już nie święta walka z pogaństwem... która tyle pożytku przynosi.

Emeryk głowę pochylił i zdawał się namyslać głęboko:

— Tak... tak...—mrucał—to już swoje znaczenie ma. Bez wątpienia tak myślą Krzyżacy... Jenó cała rzecz w tem...

Urwał i, patrząc na Ziemowita, dobrodusznie dorzucił:

— Co z tego, że tak myśli Mistrz Zollner... jeśli z nim wyraźnego porozumienia nie macie?... Porozumienie to grunt, iżby wszystko w czas było... Krzyżacy teraz nadszarpnięci są...

Ziemowit puścił ramię Bebeke i badawczo na niego spozjrzał.

Mało on znał węgierskiego wojewodę, słyszał jeno o nim, że mocno przebiegłą i okrutną naturę ma. Udało mu się raz go namówić, iż uwiózł Elżbietkę i ukrył przed Spytkiem, ale teraz czuł, że mu idzie trudniej, i przyszło mu na myśl, jako wojewoda podstępnie tak czyni, iżby wszystkie zamiary i plany dla swej pewności i korzyści wybadać.

— Za dużom mu już rzekł—myślał, bardzo z siebie niekontent.

— Bądźcie o to bez lęku—odparł głośno po chwili:—wszystko przyjdzie w czas... A wy jeno baczcie, mości wojewodo, iżbyście Elżbietki waszej w ręce wrogów nie wtrącili, stradając zarazem to, co wam król Lois na Rusi Czerwonej dał...

I odszedł, obawiając się dalszych chytrych pytań Emeryka.

Ten zaś szczyrzył zęby w szyderyczym uśmiechu. Usiadł przy stole, nalał sobie z pełna dużą czarę wina i duszkiem wypił.

— A to mi—szepnął—to książętko polskie w rękę wlało! Nacisnąłem za mocno, i zmilkł. Wiem już jednak tyle, że należy ostrożnym być... Mają oni porozumienie z Krzyżactwem, to pewna. Wszak Ziemowit nie darmo znów tysiąc szerokich groszy praskich otrzymał... Ale to dziurawy wór... wszystko mu mało. A zaś Krzyżaków mocno nadszarpnął Jagajło pod Kownem, i oni teraz się liżą... więc pogotowiu nie są. A Jagajło z Witoldem w przymierzu—górá... Gdy tu w czas przyjdą, owe zabiegi rakuskie na nic... Przeto ostrożnie... Szczęście, że Elżbietka także mądra jest...

Spozjrzał na nią. Siedziała na drugim końcu stołu, obok Jana z Münsterberga, strojna, piękna, wspaniała. Rówiesna Jadwigi, miała tę samą ciemną barwę włosów, ten

sam wzrost i także oczy szafirowe. Jenó wyraz pięknego oblicza i postawy był inny. Mniej powagi w ruchach, więcej namiętnego blasku w spojrzeniu, więcej zalotności w uśmiechu, który co chwila rozchyłał korallowe usta, ukazując rząd lśniąco białych i ostro zakończonych ząbków. I teraz do uszu Emeryka dochodził jej srebrzysty a nieco złośliwy śmiech.

— Nieboraczek zambickie książę,—mruknął wojewoda—ogłupiał już z tego miłowania, a ona szydzi...

Jan z Münsterberga miał dziwną twarz. Urodziwą nie była, ale miała takie rysy, których zapomnieć było niepodobna. Wysokie, otwarte czoło zajęte było zawsze jakąś poważną myślą; w dużych czarnych oczach był wyraz smutku, a czasem zatlił się w nich ogień szczerzego zapału; z ust, ocienionych pięknym czarnym wąsem, nie wyszło nigdy płoche słowo; ton jego mowy był stanowczy a przejmujący siłą. Bardzo wysokiego wzrostu, postawę miał rycerską, dzielną i wyglądał pięknie w obcisłym amarantowym żupanie, na którym lśnił zawieszony na szyi, podobny jak u Ziemowita, łańcuch złoty, zakończony małym, brylantami wysadzonym krzyżykiem.

— Radbym,—mówił—iżby skończyła się ta niepewność, która me serce gnębi... Radbym już stąd ujechał z tobą, pani moja najmilsza...

— O, nie! o, nie!—zawołała Elżbietka—jeszcze nie rychło! Wybyście chcieli zamknąć mnie w Münsterbergu i trzymać, jak teraz rodzic mnie trzymał w zamczysku... Jam nie jest na mniskę stworzona, ja bawić się chcę, a wy, mości książę, nawet za niewinne płasy karcicie!...

Patrzała na księcia błyszczącemi oczyma, w których była wymówka.

On zaś odparł:

— Nie karzę, jeno proszę... bo was miłuję nadewszystko, piękna pani moja... A ty, Elżbietko, miłujesz-że mnie jakoś przyrzekła?...

Ale na to ona odpowiedzi dać już nie mogła, albowiem w tym momencie królowa powstała, dając znak, iż wieczerza skończona.

Ruszono się tedy od stołów i przechodzono parami do ogromnego refektarza. Przed królową i Wilhelmem pacholikowie nieśli wysokie pochodnie, a kilku grajków niemieckich poczęło wygrywać na cytarach i piszczałkach wesołe pieśni.

Za tą najdosłojniejszą parą, długim szeregiem ciągnęły się inne, wedle godności i starszeństwa ściśle uporządkowane. Pochód zamykało liczne grono mieszczan bogatych i strojnych mieszczek, którzy za wyraźną wolą królowej w tych zabawach udział brali.

— Niech wszyscy — mówiła Jadwiga — dzielią moją radość...

Wilhelm patrzył na nią w upojeniu rozkosznem. Idąc z nią ku refektarzowi, ścisnął jej drobną dłoń lewą w swej prawicy i pochylony szeptał:

— Rozpacz mnie ogarnia... Dłużej tej zwłoki nie zniosę!

Jadwiga z wolna podniosła głowę. Spotkały się ich spojrzenia i zwały.

— I mnie ona cięży... wierzajcie! Ale cóż uczynimy? Już wrychle wrócą posłowie z Litwy, i wówczas powiem im stanowczo: nie! Przysiężenie złożyłam, iż przedtem żadnego nie uczynię kroku... Już te tutaj zabawy ściągają na mnie gromy...

— To nie czekajmy, aż spadną! Sledzą nas tutaj... Dzisiaj dojrzałem w tłumie kilku z twoich, królowo, stróżów...

— A są!—zaśmiała się Jadwiga.—Jest nawet pan z Goraja bardzo chmurny, jest i pan Spytko, ale ten o straży nie myśli, jeno o Elżbietce...

Weszli do refektarza. W pośrodku rzęsiście oświetlonej sali, której ściany zawieszane były cennymi oponami i kobiercami, na wysokim wzniesieniu stali śpiewacy i cytarzyści. Tony ich lutni i pieśni upajały czarem; były melodyjne, a czasem wrzawliwe, to znów ze skocznej nuty przechodziły w rzewną. Burzyły krew, drażniły zmysły, pociągały ku wesołości, lub rozmarzały utęsknieniem.

Szły pary za parą, zrazu z wolna i poważnie, potem żywiej, bardzo żywo i znów przestawały, jakby znużone. Dokoła sali przewijał się niby barwny, lśniący wąż, który kręgi swe to zwiąjał i skupiał, to rozszerzał i rozprzestrzeniał. Na czele Jadwiga i Wilhelm nierozłączni; inni zaś tancerze zmieniali na dany znak swe damy; pary rozchodziły się i znów składnie łączyły. W pobliżu królowej szedł taniec poważnie, ale dalsze pary niebawem poczęły swawolić. Rozlegały się śmiechy, żarty, tancerze wraz z damami swemi śpiewali wśród płasów, pomnażając wrzawę.

Oparta plecami o ścianę, bardzo zawsze blada, smutnemi oczyma patrzyła na płasających Reginka. W tanach udziału brać nie chciała; czuła ciągle wielki ciężar na sercu i zamęt w myślach. Patrzyła przed siebie, nie widząc nikogo; wrzawa, śmiechy, tony muzyki ogłuszały ją.

Zadrżała, posłyszawszy obok siebie głos miły, cichy a dźwięczny i śpiewny.

Obok niej stał Semko z Bełza, strojnie a barwnie przyodziany. Od aksamitnego szafirowego żupanika ślicznie odbijała jego młodzieńcza biała twarz, cała w tym momencie zarumieniona i okolona jasnymi włosami, które w utrefionych zwojach na ramiona mu spadały.

Przemógł krępującą go nieśmiałość, i widząc Reginkę osamotnioną, przystąpił.

— Zali—spytał—lutnista wasz nadworny nie otrzyma dzisiaj ani jednego spojrzenia?...

Reginka przesunęła ręką po czole, zbierając myśli. Uśmiechnęła się z przymusem.

— A to wy!—odparła—nie dostrzegłam was!...

— Błdzi dzisiaj wzrok twój, pani, — ozwał się smutnie Semko—błdzi kędy indziej. Szedł on jednak ku mnie z okien baszty zamkowej, czułem go na sobie, gdym śpiewał.

— O, cudne, cudne pieśni! — zawołała Reginka, składając ręce. — Jam wdzięczna wam za nie... bardzo wdzięczna!...

Dalej mówić nie mogła, bo znowu ścisnęło się jej serce z trwogą; pobladała i omal nie krzyknęła. Przez uchylone podwoje od krużganku, kędy przed chwilą odbywała się wieczerza, ujrzała znowu posępną twarz Bolka. Rozmawiał z panem z Dalewic, a zdawał się ku niej sięgać palającym wzrokiem i mówić:

— Pomnij, coś przyrzeka!

Przymknęła oczy, tak ją ten wzrok przenikał.

A Semko pytał zalekniony:

— Co ci jest, pani moja, żeś tak poblada? co-c się stało?

Ona zaś szepnęła po chwili:

— Duszno tu... gorąco!... O, gdyby wyjść stąd!

I nie patrząc na zafrasowanego młodzianka, chwiejnym krokiem odeszła w stronę, kędy dojrzała ochmistrzynię.

Zabawa tymczasem szła w najlepsze, coraz weselsza. Już nawet kiedy niekiedy poczęły rozbrzmiewać swobodne śpiewki tańeczne, zwłaszcza niemieckie, ale wnet milkły, bo starsi, przez wzgląd na obecność królowej, powstrzymywali swawolne wybryki.

W płasach nie brał także udziału Jan z Münsterberga. Napoły ukryty we framudze okna, ścigał wzrokiem Elżbietkę, która uniesiona wesołością, tańczyła najwięcej i najgłośniej się śmiała, wywołując wokół siebie zachwyty i podziw. Ona zaś rzucała zalotne spojrzenia na cisnących się ku niej tancerzy, rozbawiona namiętnie.

— Przecudna dziewczka!—mówiono w głos: —rzuca wokół siebie skry...

— I przepaliła mi duszę... — myślał Jan z Münsterberga. — Czuje, że mi się oderwać od niej należy... uciec od tej zalotnicy, ano, nie mam sił... Przykuła mnie do siebie i znęca się...

Niewesoły miał on żywot, ten zambicki książę. Bardzo dumny, pragnący podniesienia dostojnego rodu swego, od niemowlęctwa patrzeć musiał, jak słaskie dzielnice książęce upadały, orężem lub chytrymi zabiegami Czechów opanowane. Działo mu się ciągle krzywda. Od niemowlęctwa o tem jeno słyszał, że należały mu się księstwa Świdnickie i Jawryjskie, a oto zagarnął je król Karol Czeski, pojawiający w małżeństwo ciotkę jego Annę i wyludziwszy zapis dzielnic tych od bezpotomnego księcia Świdnickiego Bolesława. Słyszał też różne o tem opowieści, jak dostojny, piastowski ród jego schodził na marne, jak dziad jego, Mikołaj, skrzywdzony przez rodzica, który ziemię

i zamek Kładzko Janowi Czeskiemu sprzedał, pozbył się reszty ojcowizny i na pielgrzymkę poszedł do Grobu Pańskiego, skąd wracając, w rozpacz i nędzę zmarł. Słyszał, jak stryj jego rodzony, Henryk, do Krzyżaków naprzód wstąpił, a potem, porzuciwszy Zakon, na nędzną tułaczkę po świecie się skazał. Nie lepiej działo się i rodzicowi jego, Bolesławowi, który, zewsząd przez Czechów ściśnięty, zaledwie marny żywot utrzymać mógł na starym Münsterberskim zamku. Ubogie to i pełne upokorzeń dzieciństwo wyrodziło też w jego duszy skłonność do tęsknej zadumy, która jednak nie złamała hartu woli, nie osłabiła siły uczuć ani rycerskiego męstwa i nie skruszyła dumnej chęci odzyskania należnego krwi piastowskiej stanowiska. Zrazu rodzic jego, który zupełnie był już uległ wpływom czeskim, zamyślał oddać go na dwór krewniaka swego króla Karola, ale młodzian, pamiętny krzywd, ręką czeską rodowi swemu zadanych, oparł się temu stanowczo i wołał iść w świat fortuny rycerskiej szukać, niż korzystać z łask króla Karola, lub po jego śmierci z dobrodziejstw jego syna i następcy, Wacława.

Wyszedszy w świat, zahartował się i zmęźniał w różnych walkach, a chociaż za całe mienie posiadał jeno miecz rycerski i ów łańcuch szerozłoty, po przodkach, książętach Lignickich pamiątkę, to zyskał tyle, że wszędy wielbiono jego dzielność, prawosć i rycerskie męstwo. Ceniono go też wielce na budzińskim dworze, a król Lois, zwłaszcza zaś królowa starsza, Elżbieta, chcąc krwi piastowskiej dopomóc, umyślili owo małżeństwo Jana z Münsterberga z bogatą dziewczką węgierską Elżbietką, córką Emeryka wojewody. Odtąd książę Jan stał się nieodłącznym towarzyszem i przyjacielem księcia rakuskiego Wilhelma i z nim swoje losy połączył. W oczach też jego wyrastała Elżbietka z dziecka na niewiastę przedziwnej urody. Rozmawiało się w niej namiętnie gorące serce zambickiego księcia, który też z uciechą myślał, że ta cudna małżonka nie tylko mu szczęście przyniesie, lecz i dopomże do wydzwignięcia dziedzicznej a upadłej dzielnicy. Poczęło się to jednak psować od czasu, gdy Spytko, ujrawszy na dworze budzińskim Elżbietkę, rozgorzał ku niej miłością. Zabiegi jego okazały w jawnym świetle przebiegłość Emeryka, a rozbudziły wrodzoną zalotność w dziewczęce.

Urodziwy wojewoda krakowski płasa teraz ochoczko z dziewczką, mówił do niej ciągle i przyspiewywał wesoło, a ona śmiała się radośnie i rozpromienionemi oczyma patrzała zalotnie na młodzianka. Ten zaś był kontent. Przed chwilą bowiem miał długą rozmowę z wojewodą Emerykiem, który ciągle jeszcze przy stole w krużganku siedział i ciągle wino pił, że aż mu łyzy z zaczerwienionych oczu ciekły. Emeryk okazał się znacznie dla Spytka łaskawszym i sam pierwszy usprawiedliwiać się począł, iż uwiózłszy Elżbietkę z budzińskiego zamku, tak długo w ukryciu ją trzymał.

— Ano, — mówił, bełkocąc nieco, bo mu wino język plątało — nie mogłem inaczej... I Mazowiecki Ziemowit, i sam Wilhelm rakuski, i namówiona snadź przez nich królowa najjaśniejsza, Elżbieta, tak mi wówczas czynić kazali... Ale teraz...

Urwał, aby nie rzec za wiele, dłonią spoczone czoło otarł i poprawił się:

— I teraz nie wam, wojewodo, przyrzec nie mogę... Związany jestem... Wiesz?... w Hainburgu były sponsalia... Trudno... Dostrzymać trzeba! Królowa Jadwiga Wilhelmo wi, a moja dziewczka...

— Nigdy się to nie stanie!—zawołał porywczko Spytko: — nigdy! Jagajło nadciągnie niebawem z wielkim taborem... już pono wyruszył... Jeżeli więc Wilhelm odprawion będzie...

— Ci... cho!—szepnął Węgier, oglądając się na wsze strony. — Jagajło wyruszył... — mruknął po chwili.

Podniósł na Spytka zamglone oczy.

— Kiedy bo — dorzucił — królowa wasza rozmówiona w Wilhelmie, a dziewczka moja w onym księżęciu zambickiej ziemi!... Coć poradzę?

Zasłabł się i wnet odpowiedział sam:

— Ano poradzić nie trudno, bo miłowanie białogłowy to jak marcowy lód... wrychle topnieje... Nie wiem, jak tam pójdzie owemu Jagajle, który, mówią, cały obrosły, jak dziki zwierz... cha! cha!... Ale wam, wojewodo, poradzić nie trudno... macie takie oczy, z których skry leca... takie zaś najlepsze są na marcowy...

— Przeto—przerwał uradowany Spytko—nie bylibyście mi przeciwni, gdyby owe sponsalia Hainburskie zniweczono, a...

— Ci... chaj!—powtórzył znów Bebek. — Ja nie mówię nic... czekam... To najmądrzejsza rzecz... Będziemy o tem gadali, gdy... czas przyjdzie... Nie mówię: nie, ale nie rzekłem: tak. To sobie pomnijcie!...

Spytko wszakże już i za to był wdzięczny, bo czuł w słowach Emeryka wahanie, a w sercu miał dzisiaj coraz więcej nadziei. Elżbietka była mu dziś widocznie rada, posępne zaś oblicze zambickiego księcia świadczyło, że niepewnym a nawet oddalonym się czuł.

Wchodząc napowrót do refektarza, kędy wrzawa, wesołość i śpiewy coraz się wzmacniały, dostrzegł Jana z Münsterberga, opartego o framugę okna.

— Wracaj ty sobie — pomyślał z uciechą — razem z Wilhelmem do Wiednia, albo do swego Münsterberga: Elżbietki nie dostaniesz, moją będzie!...

I rozpromieniony podbiegł ku niej, pociągając w płasy. Objął zlekka jej kibić i do ucha szeptał.

W płasach przewinęli się szybko obok framugi, kędy stał Jan z Münsterberga. Był błydy bardzo, wargi zacisnął i szyję wyciągnął, jakby dosłyszeć chciał, co szeptał Spytko uśmiechniętej Elżbietce. Ona nie spojrzała nawet na niego, zajęta tem, co jej mówił piękny wojewoda.

Książę zębami zgrzytnął.

— On raczej zginie śmiercią krwawą, — mruknął — niżbym dopuścić miał, aby mi szczęście moje zrabował...

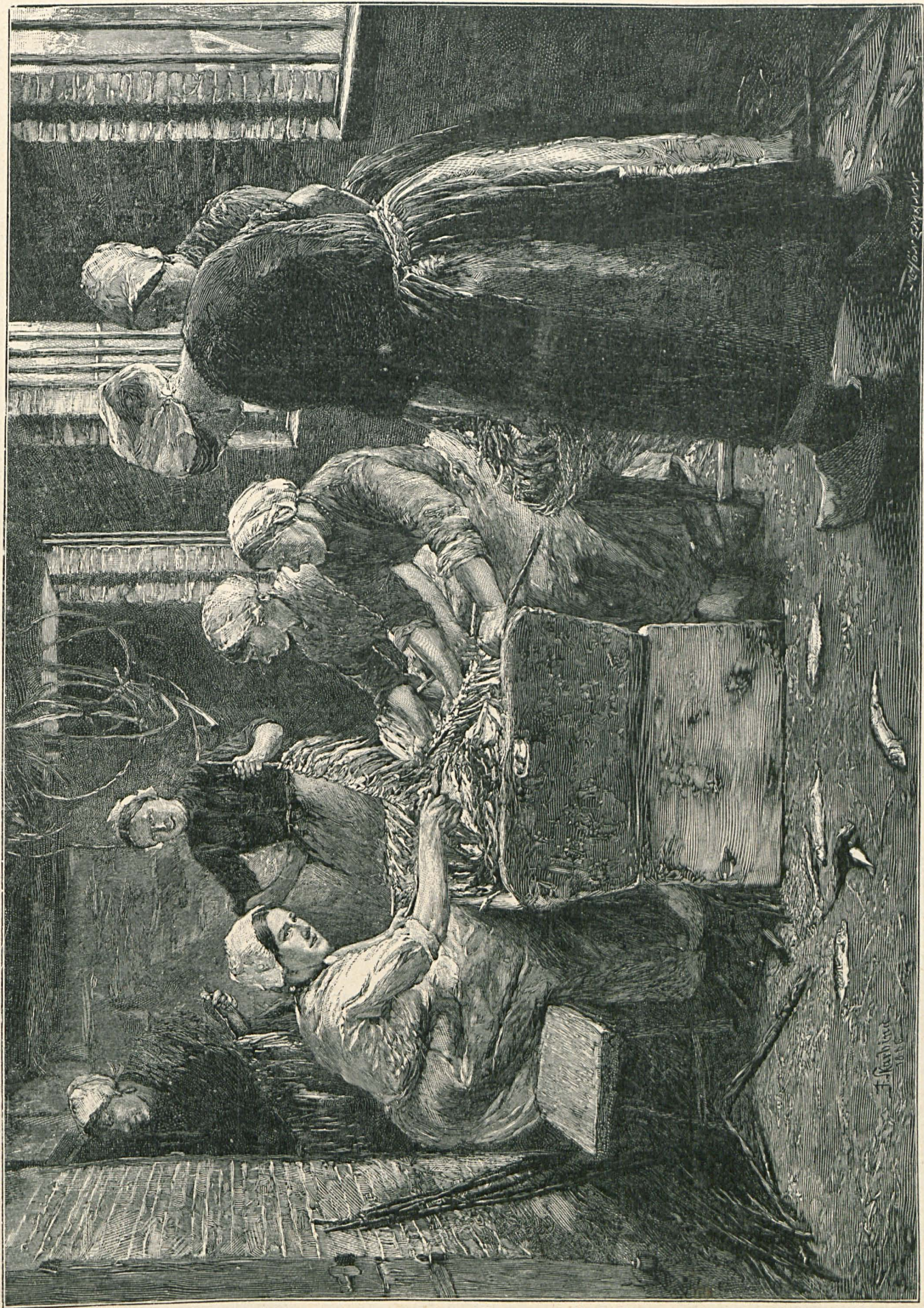
Przystąpił do Mazowieckiego Ziemowita, i żywo naradzać się poczęli.

Wrzawa rosła. Coraz częściej odzywały się wesołe śpiewki, których już powstrzymać nie można. Naraz na środek sali, na wzniesienie, kędy stali grajkowie, wyskoczył pstrokato ubrany trefniś niemiecki i przenikli-



MOMENT KRYTYCZNY

JÓZEF BRANDT



WEDZENIE ŚLEDZI

FRANCISZEK SKARBINA

wym głosem, który przez wrzawę do uszu się przedostawał, począł śpiewać:

„Der Schäfer in der Newendstadt
Sein Rösslin aussgeboten hat
Eim unverzagten Man zu geben,
Dem nit sein Weib darff widerstreben,
Findt aber kein, ders so begert,
Derhalb behelt er wol sein Pferdt..“

Zerwała się burza śmiechu, w ręce kłaskano, i odezwały się tony skocznej muzyki, a niemieccy zwłaszcza rycerze, dla których ów śpiew taneczny zwany, „Schöfferdantz“, bywał pobudką do coraz większej wesołości, poczęli chwytając tancerki swe w ramiona, do góry podnosić, i płaszając wkoło, ścisnąć a całować.

Przez ciżbę tłoczyć się teraz począł ku królowej pan z Goraja. Twarz jego wyrażała zgorszenie i oburzenie. Ale Jadwiga nie brała już udziału w piasach i nie zwracała wcale uwagi na to, co się wokół działo. Wśród wrzawy i tłoku zdawało się jej, że jest samą zupełnie z umiłowanym towarzyszem lat dziecięcych.

On zaś mówił jej teraz stanowczo, iż dłużej czekać było nie sposób, że nadeszły wieści, jako Jagajło nadciąga, że to przyrzeczenie, które Jadwiga swym srogim stróżom złożyła, mniej przecież jest święte, niż ślubowania Hainburskie.

— Jesteście mi prawnie poślubioną małżonką,—mówił z zapalem książę—więc czego lękacie się?... Przecież drzwi komnaty swojej nie zaprzecie przede mną, gdybym...

— Co zamysławiacie, książę?... — przerwała Jadwiga, podnosząc na niego zalekziony wzrok.

— Bóg świadkiem moim,—odparł książę—jako nie chciałem używać podstępów... W biały dzień, uroczyscie pragnąłem wkroczyć na zamek. Nie dopuszczono. A ja w tej srożej niepewności nie mogę żyć...

Zbliżył się do niej i, ogarniając ją całą namiętnem spojrzeniem, szeptał:

— Przecież do ciebie prawo mam!... Wszakże nie popełnia nic złego ten, który bierze to, co mu się należy... choćby, nie mogąc inaczej, pokryjomu brał...

— Nie! nie!—powtarzały blade usta Jadwigi, ale w zaprzeczeniu tem nie było siły.

On zaś błagał, zaklinał, wzrokiem przenikał i pieścił, powtarzając ciągle z cicha:

— Nie odgonisz mnie od drzwi swoich, królowo, gdybym przyszedł?... Nie odgonisz?...

Pierś jej podnosiła się i opadała gwałtownie.

— Ma prawo umiłowany małżonek mój!...—wyszeptała po chwili Jadwiga, tonąc wzrokiem w roziskrzonym spojrzeniu księcia.

Niedoznaną nigdy przedtem rozkosz sprawiała jej to poddanie swej woli pod wolę tego, którego miłowała, uznanie jego władzy nad sobą.

I chyląc głowę ruchem kornego dziewczęcia, powtórzyła raz jeszcze:

— Ma prawo!

W tym momencie stanął przed nią cały wzbudzony pan z Goraja.

— Miłościwa Pani! — rzekł z powagą: — nieprzystojne pieśni poczynają tu śpiewać i taneczną swawolę czynić... Rozkaż, iżby zaprzestano...

Krew uderzyła do głowy Jadwigi, spłonęła cała i niemal gniewne rzuciła na podskarbiego spojrzenie, iż się ośmielał rozmowę jej przerywać.

Dała jednak znak ręką, aby muzyki i piasów zaprzestano.

Poczęli teraz braciszczowie zakonni roznosić wino w kubkach i różne konfekty, a orszaki królowej i księcia rakuskiego gotowały się do pochodu. U wyjścia stanęli pacholki z pochodniami, a za nimi cyтарыści i surmacze. Czekał też tam osiwiały przeor Braci Mniejszych, aby pożegnać dostojnych gości i odebrać rozkazy na przyszłą biesiadę.

Wyruszano zwolna. Ale u podwojów re-fektarza powstrzymali Spytko Jan z Münsterberga i Mazowiecki Ziemowit.

— Mości wojewodo! — rzekł zambicki książę stłumionym głosem, który z trudem wydobywał się ze ściśniętej krtani—nie zwykłem ja ustępować praw moich nikomu... Przecz-że wy na moje następujecie?...

— Każdemu wolno patrzeć w słońce — odparł hardo młodzian.

— Ale nie zabierać tego, które świeci na cudzem podwórku — wtrącił Mazowiecki Ziemowit.

Spytko z gniewem na niego spojrzał i odrzucił ostro:

— Nie wam, mości książę, mówić o prawach, boście chyba nie praw w moim Książu szukali...

Zwarły się i odtrąciły ich nienawistne spojrzenia.

A Jan z Münsterberga, pohamowawszy się, mówił wolno, z naciskiem:

— Rycerzem jestem, krzywdy nie chcę niczyjej, ale i swojej nie dopuszczę... To wiedźcie. Elżbietka przyrzeczona mi jest w małżeństwo...

— A jeśli was nie miłuje? — przerwał Spytko.

— Serca jej niewolić nie będę!—z goryczą zawołał Jan: — ale nie chcę, aby mi je podstępnie rabowano...

— Mości książę! — przerwał żywo pan z Melsztyna:—Leliwa podstępów nie zna...

— A przeto — ozwał się Ziemowit: — w szranki rycerskie...

— Tak—potwierdził książę zambicki:—niech sąd Boży rozstrzyga!...

— Ochotnie!—odparł pan z Melsztyna:—kiedy wola... jam gotów...

A książę Ziemowit rzekł:

— Nie dziś i nie jutro, bo takim zatarciem nie należy mącić ważniejszych spraw... Jam tak ułożył, i książę zambickiej ziemi przystał na to, iż owe zapasy odbędą się w czas godów weselnych księcia Wilhelma...

— Cha! cha! — zaśmiał się Spytko: — to nie odbędą się nigdy... Chyba mówcie na weselnych godach Jagajły!...

Zachnął się Ziemowit, a Jan z Münsterberga odparł spokojnie:

— Gdyby nawet tak... zgoda!... Ale pod jednym warunkiem, że nim Sąd Boży rozstrzygnie, nie będziecie, mości wojewodo, ani zbliżali się do Elżbietki, ani ozdobnemi słówkami serca jej ku sobie niewolili...

Spochnurniało oblicze Spytkowe. Głowę rzucił i spytał:

— A wy, mości książę?...

— Książę prawo ma—wtrącił Ziemowit—i dość już czyni...

— Wobec Sądu Bożego, — gwałtownie przerwał pan z Melsztyna — na który mnie wyzywacie, ustają prawa inne, albo raczej równe być muszą... Jeżeli mam takowe przyrzeczenie złożyć, to złóżcie i wy, mości książę!

Jan z Münsterberga moment się wahał, wreszcie rzekł ponuro:

— I na to zgoda... Przyrzekam!

— I ja ślubuję!—zawołał Spytko.

— Ja zaś świadkiem jestem—zakończył Ziemowit. — Sąd Boży na jawnym turnieju, w czas godów weselnych Jadwigi.

— Tak!—potwierdzili oba.

I na tem rozstali się.

Wychodząc z klasztoru, Jan z Münsterberga mówił do Ziemowita:

— Na owe weselne gody czekać zbyt długo... A jabym zaraz ubić go chciał...

Książę Mazowiecki pod ramię go ujął i odparł:

— Tem pewniej ubijesz go potem, bo teraz drżysz... Żadnego teraz rozruchu wszczynać nie można... Pomyśl, coby się stało, gdybyś Spytko jutro ubił. Rozszarpałaby nas zażarta małopolska szlachta... to wściekły naród jest... A Wilhelm to już nawet i spojrzeć na Jadwigę-by nie mógł...

— Toż dla niego jeno czynię, iż czekam...—wtrącił Jan.

Podniósł oczy w górę, wpatrując się w zasnute chmurami niebo, i dodał pośepnie:

— Gdyby przewidzieć można... gdyby wiedzieć, co tam w górze zapisane jest... czekać byłoby snadniej...

Ziemowit zaśmiał się...

— Chcesz wiedzieć? — spytał. — Łatwa sprawa. W Mornsteinowej gospodzie jest, słyszałem, jakaś pątniczka, która po całym świecie chadza, wszystkich zna i wie wszystko. W gwiazdach czyta, z ognia wróży, czary czyni... Za jedną grzywnę ona ci wszystko złe i dobre wyjaśni!

Stanęli przed gospodą. W brudnej, ciemnej sieni cisnęło się ku drzwiom dolnej izby pospólstwo. Ziemowit cisnących się odsunął i wszedł z Janem do wnętrza.

Izba była niewielka i zarówno jak sieni niechlujna. Z ogniska, rozłożonego na kominię, padały skry i blaski na okopcone mury. Gryzący w oczy dym wił się po ścianach i na suficie pełzał długimi pasmami.

Przy kominie na niskim tapczanie siedziała niemłoda już niewiasta w ciemnym, jak gdyby mniszym, habicie. Przed laty piękną być musiała, a i teraz oczy jej czarne paliły się ogniem, który przenikał.

Bystro na wchodzących spojrzała.

— A... a...—rzekła—Mazowiecki książę... Bywajcie!

— Znasz mnie?—spytał Ziemowit.

— A któżby nie znał dostojności Waszej? — odparła niewiasta, nie ruszając się z miejsca. — Z Kujaw jestem... Jeno teraz Pan Krystus kazał mi po świecie, po cudownych miejscach chadzać i za grzesznych modlić się, a pokutę czynić... Teraz z Węgier do progów Krwi Pana Krystowej, do cudownego Wilsnaku pielgrzymuję... Złóżcie, panie, ofiarę — dodała tonem proszącym, przeciągłym:—modlić się będę...

Artur Gruszecki: Na drugą półkulę.

Sprawozdanie specjalne delegata Tygodnika Ilustrowanego.

19.)

Ze ulica „do Ouvidor“ jest zamkniętą dla tramwajów i dorożek, sam p. J. Siemiradzki potwierdza w książce „Szlakiem wychodźców“ (tom I, str. 58). Może jednak czytelnik powie, że pomyłka co do charakterystyki ulic jest podrzędną, więc biorę drugą cytata. W książce swej „Za morze“ (str. 57) robi p. Siemiradzki Kurytybę niemal polskiem miastem; w najnowszej pracy p. t. „Szlakiem wychodźców“ z r. 1900 (str. 144) pisze: „że w Kurytybie Polaków prawie niema“ i liczy (str. 132) 30,000 mieszkańców, a znów w broszurze „Polacy za morzem“ z r. 1900 (str. 13) to samo miasto ma „co najmniej 50,000 mieszkańców.“

Wróćmy jednak do emigracji.

Prócz przewodnika drukowanego jest, moim zdaniem, rzeczą bardzo potrzebną utworzenie w Bremie, w Rio de Janeiro i w Kurytybie sumiennych, chociażby płatnych doradców i opiekunów, którzyby nie dopuszczali wyzysku emigrantów, niestety, zbyt częstego, jak się sam naocznie przekonałem.

I naprawdę, szkoda naszego ludu, by marniał i ginął już nie co dziesiąty, ale co czwarty lub trzeci na obczyźnie, wabiony marą łatwego nabycia ziemi i dojścia do dobrobytu. Jeśli już emigracja jest rzeczą konieczną i nie dającą się powstrzymać, obowiązkiem naszym jest otoczyć tych biednych opieką przynajmniej moralną i nie wydawać ich na łup spekulantom pracy i krwi.

Ta Parana—to okienko, przez które możemy spojrzeć w przyszłość naszego chłopca,



Powalony olbrzym na szakrze, przygotowanym pod uprawę.

jakim będzie i jakim mógłby już być. Trzeba widzieć ten wściekły temperament w pracy, w zabawie, w hulatyce, tę przytomność umysłu w niebezpieczeństwie, umiejętność radzenia sobie w ciężkich przejściach, szaloną wytrwałość i inteligencję, by nabrać zaufania do jasnej przyszłości i boleć nad stratą każdej jednostki.

A tymczasem ludzie, których dobrych chęci wcale nie podejrzewać, jak pp. K. Lubomirski, W. Terenkoczy i W. Ungar, zakładają „Towarzystwo kolonizacyjno-handlowe“, zaś p. J. Siemiradzki, jako jeden z jego dyrektorów, ogłasza w poczytnym „Kuryerze Warszawskim“ (Nr. 339 z roku 1899) artykuł p. t. „O wychodźstwie włościan do Brazylii“, żądając od kraju złożenia skromnej sumy 300,000 frank., by rozpocząć kolonizację. Tę samą myśl rozwija p. J. Siemiradzki obszernie w swojej broszurze „Polacy za morzem.“

W „Kuryerze Warszawskim“ p. J. Siemiradzki zadowolili się ogólnikami; nie wtajemnicza w szczegółowy budżet „Towarzystwa“, ale tak naoslep puszcza bez żadnej, ale to żadnej realnej podstawy frazes o możliwości sprowadzania i handlu naszego z koloniami polskimi: „kawą, bawełną, tytuniem, herbatą chińską, tapioką etc.“ — produktami, których nikt nigdy z kolonistów nie plantował i nie plantuje na płaskowzgórzu Parany, a tylko tam osiedli Polacy. Jest to zachęta tak niezręczna, że dziwić się należy, iż jej użył p. J. Siemiradzki.

Natomiast w swej broszurze „Polacy za morzem“ ogłasza p. J. Siemiradzki przyszły budżet „Towarzystwa“, który wygląda jak następuje (l. c. str. 28):

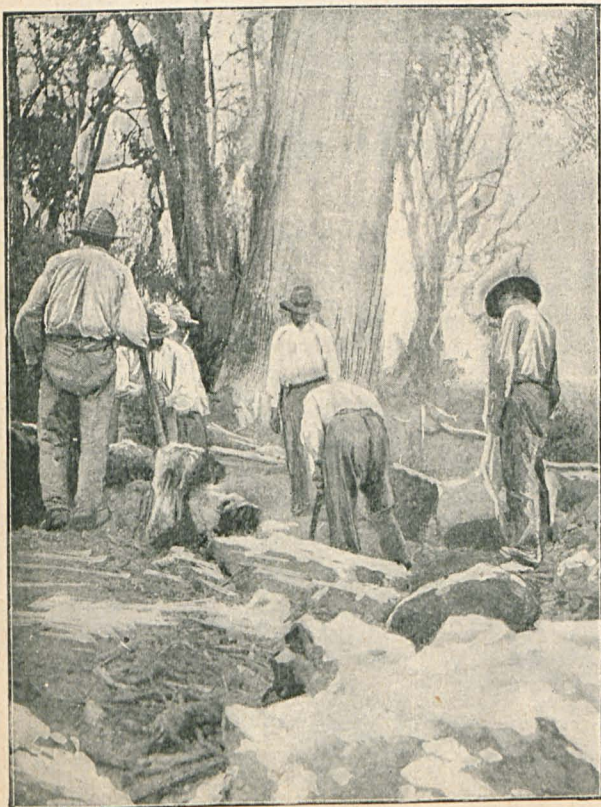
Zakupno 20,000 hekt. po 8	
milr.	160,000
8% należitość przenośna.	12,800
Pomiary po 2 milr. za hektar.	40,000
Drogi	60,000
Administracja	60,000

Razem 332,800

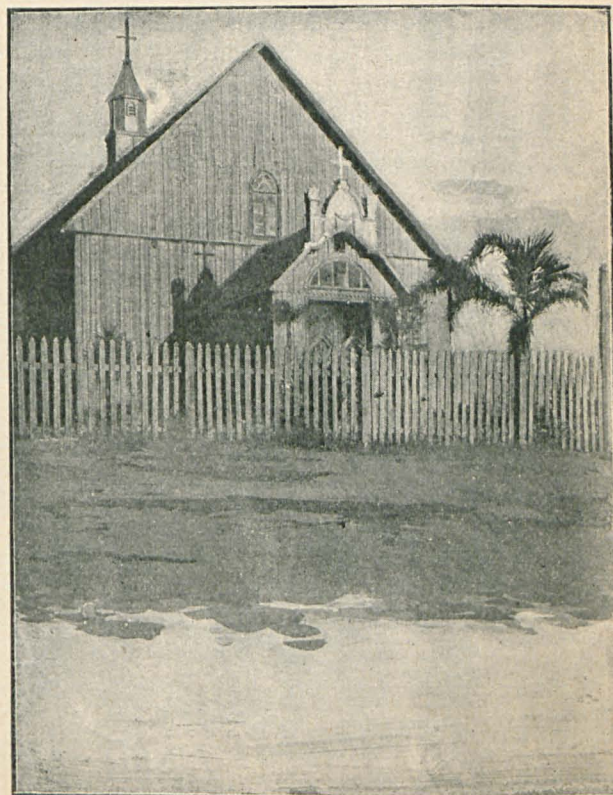
A że dziś milrejs ma cokolwiek mniejszą wartość od franka, przyjmuję, że zakładowy kapitał 300,000 franków wystarczy na projektowane wydatki. Z punktu logiki nadzwyczaj tu dziwną jest propozycja „administracji 60,000:“ czy ona ma być dożywotnią, czasową czy jednorazową?

Ale pomijam tę kwestię. Przypuśćmy, że naprawdę zakupiono 20,000 hektarów, naturalnie ziemi dziewiczej, w lasach, o setki kilometrów od siedzib ludzkich.

Trzeba przecież tym kolonistom przyszłości— a chyba nawet p. Siemiradzki nie przypuszcza, że są to kapitaliści—dać jaką taką budę na mieszkanie, choćby najlichsze narzędzie do pracy i zboża na pierwszy zasiew. Z jakiego funduszu i od kogo mają żądać? A taki wydatek nie jest bagatelą, wszak nawet tak macoszny rząd brazylijski liczył na zbudowanie lichej chałupy 250 milrejsów, a na ziarno do siewu i narzędzia 50 milr., razem 300 milrejsów na jedną kolonię, a że p. J. Siemiradzki chce według swego planu (l. c., str. 28) osiedlić 1,150 rodzin na zakupionej ziemi, czeka „Towarzystwo“ wydatek 345,000 franków, a skąd je wziąć, gdy cały kapitał już utonął w przedsiębiorstwie? O procentowaniu, korzyściach, chociażby po 7 latach mowy niema; wszak rządowi koloniści po dziś dzień



Kolonisci, łamiący kamień do kościoła w Lucenie.



Kościół w kolonii „Mauricy.“

jeszcze się nie wypłacili, cóż dopiero prywatni!?

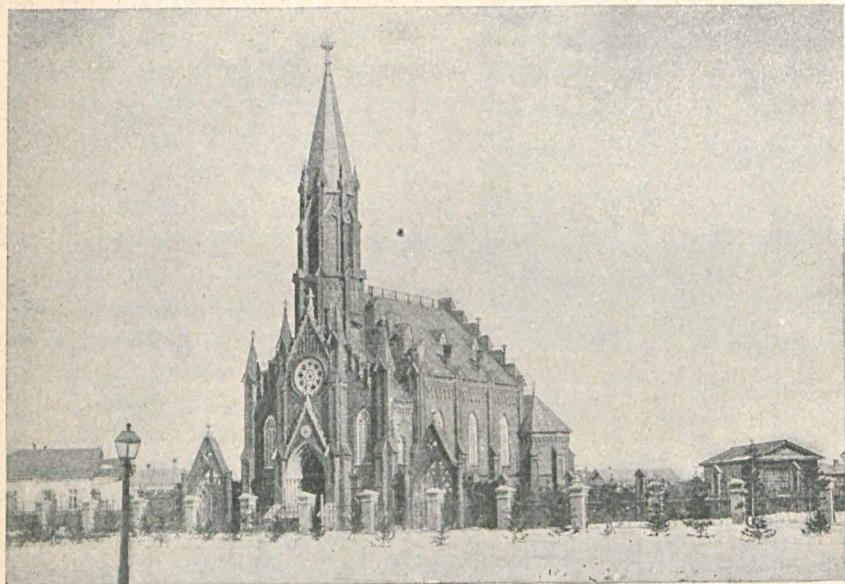
Całe „Towarzystwo,” jak je przedstawia p. J. Siemiradzki, to mały kramik lichwiarza, który kupuje ziemię po 8 milrejsów, a chce odprzedawać ten dziewiczy las, nie

licząc wcale na możliwe nieużytki, jak mokradła, zbocza, rzeki, stawy, tylko „po czterdzieści milrejsów za hektar gruntów wiejskich, a co najmniej *dwieście* milrejsów za hektar gruntów podmiejskich;” ale to obrzydliwe żdzierstwo biednych emigrantów! Całe

szczęście, że nikt nie zgodzi się na tę cenę, bo np. w Lucenie kupił znajomy mi kolonista 25 hektarów za 500 milrejsów, więc dla czego miałby p. Siemiradzkiemu gdzieś na zupełnem odludziu płacić „co najmniej 1000 milrejsów!”

DN

DROGA ŻELAZNA SYBERYJSKA.



Kościół katolicki w Irkucku.



Most pontonowy, łączący Irkuck z Głazkowskim przedmieściem.



udowa kolei Syberyjskiej należała do przedsięwzięć, które ze względów ekonomicznych obchodziły całą Europę i Azję. Dla nas specjalnie kolej ta ma również niemałe znaczenie, gdyż z jednej strony ułatwiony dowóz zboża syberyjskiego odbija się niewątpliwie na cenach tego produktu, a z drugiej strony wywóz wyrobów przemysłowych naszego kraju na Wschód znalazł wielkie ułatwienie. Prócz tego ostatnie wypadki na pograniczu Chin zwróciły uwagę na znaczenie strategiczne tej arterii komunikacji, i dlatego sądzimy, że krótki opis kolei, poparty ilustracjami, zdejmowanymi dla „Tygodnika” na miejscu, nie będzie pozbawiony interesu.

* * *

W dniu 14-ym lipca r. b. oddano do użytku publicznego część drogi żelaznej Zabajkał-

skiej: Bojarskaja—Sretiensk, ciągnącej się na przestrzeni 1,128 klm. i stanowiącej zakończenie olbrzymiej drogi Syberyjskiej.

Długość drogi szynowej, wybudowanej od Czelabińska na wschodnim stoku Uralu do Sretienska na Szyłce wynosi 4,387 klm.; do zupełnego wykończenia tej drogi potrzebne jest tylko jeszcze połączenie Irkucka ze stacją końcową, przez kolej obwodową Bajkalską.

Inżynierowie postąpili bardzo roztropnie, zarzucając pierwotny plan przeprowadzania pociągów bezpośredniej komunikacji przez Bajkał na okrętach transportowych, przytem zimą miały być zastosowane statki do łamania lodów i utrzymywania wolnej drogi przejazdowej.

Prawda, że droga przez to jezioro śródziemne o powierzchni 34,180 kilom. kwadratowych, jest niedługa, ale wobec straszliwych orka-

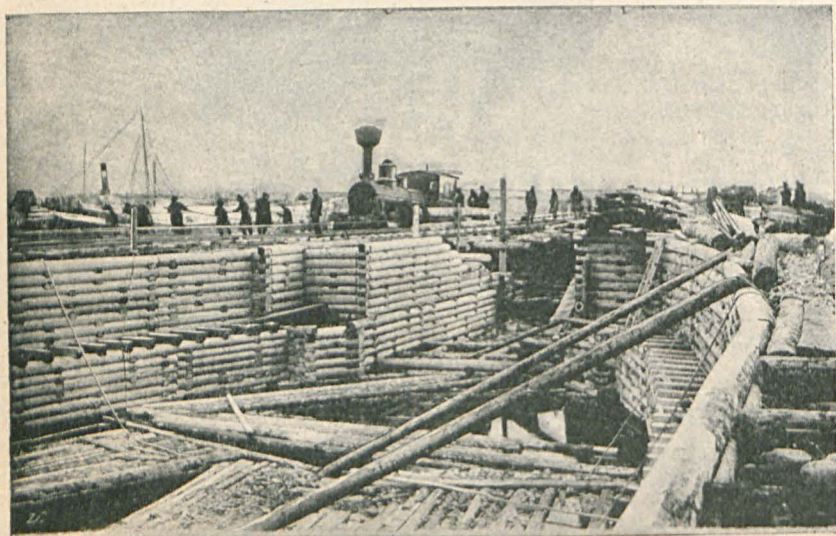
nów, zrywających się na tym obszarze wód i trwających do trzech dni, staje się wprost niemożliwą.

Niema najmniejszej wątpliwości, że podczas burzy okręt narażony jest na porwanie na pełne wody i zatopienie w tem zarówno pięknem, jak i zdradliwym jeziorze, którego wielkie głębiny zbadał po raz pierwszy prof. Dybowski i p. Godlewski.

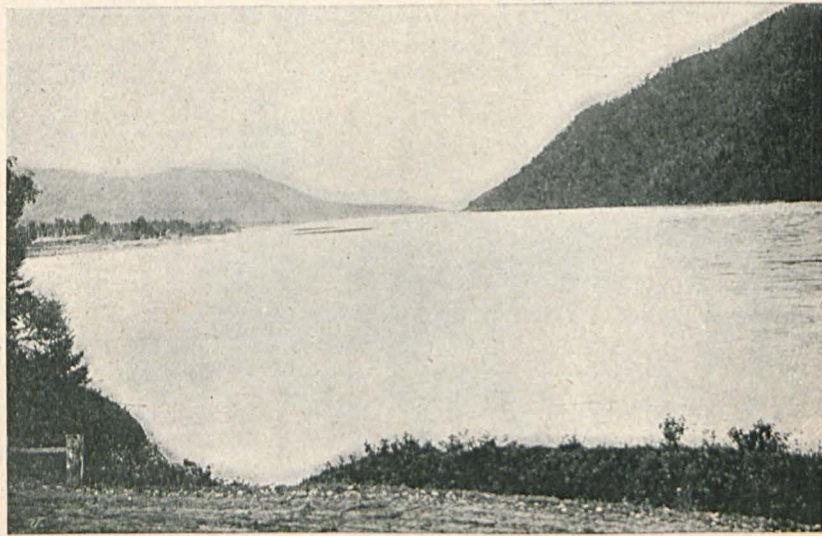
Nawet parostatki, kursujące pomiędzy Listwicznym a Bojarską, nie są w stanie przybić do jednego z tych punktów, kiedy wody są mocno wzburzone.

Przedtem dokoła jeziora wiodła droga, wykuta miejscami w skałach nadbrzeżnych przez inżynierów i robotników polskich, skąd nosiła nazwę „Polskiego traktu.”

Wprawdzie linia kolejowa, położona na południowym brzegu Bajkału, zamiast projektowa-



Dok nad Bajkałem.



Rzeka Angara, wypływająca z jeziora Bajkalskiego.



Kobiety Buryackie.

nej przeprawy przez jezioro, kosztuje 18 milionów rubli, ale co znaczy ten koszt wobec osiągnięcia zupełnego bezpieczeństwa przejazdu!

Biota i bagna pomiędzy Czelabińskiem a Irkuckiem były dla inżynierów tak samo twardym orzechem do zgryzienia, jak na przestrzeni zabajkalskiej piasek lotny, ale generał Annienkow, budując drogę Zakaspijską, nauczył, jak się pozbywać tego przeciwnika.

Tam, w Turkestanie, pomiędzy Bucharą a Samarkandą, pociąg na dużej przestrzeni posuwa się bardzo wolno pomiędzy dwoma szeregami gór piaskowych trzypiętrowej wysokości. Za Bajkałem takie diuny dochodzą zaledwie do 0,5, lub 1 metra, ale mimo to doskonale zasypują szyny.

Miasteczko Wierchnie-Udinsk, na prawym brzegu Selengi, jest pierwszą większą stacją po tamtej stronie Bajkału; stąd kolej biegnie po płaszczynie, bo góry pozostają na lewo, na wschodnim brzegu Bajkału. Niedaleko od Czity, rezydencji gubernatora okręgu Zabajkalskiego, na dwóch ponad sobą leżących dużych, okrągłych skałach, które stanowią wysoki gór Jabłonowych, wznosi się wysoki krzyż, postawiony przez Dekabrystów.

Poniżej tych skał, na piaszczystej równinie leży miasto Czita, w pobliżu którego rok rocznie w dniu oznaczonym misjonarze chrzczą Oroczożów.

Między Czitą a Nerczyńskiem od stacji Kajdałowo, odległej o 120 w. od Czity, droga Mandżurska zwraca do Portu Artura. Od stacji Czarkajtuj tejże drogi zaczęta jest nowa linia kolejowa do Kiachty, głównego składu herbaty wywozowej, a stąd poprowadzona będzie przez Mongolię i Dżungaryę do Taszkentu.

W Nerczyńsku, dzięki ofiarności wielkiego przemysłowca Butina, wzniesiono okazałe budynki teatru, szkoły muzycznej, muzeum i apteki.

Stacją końcową drogi żelaznej Nadbajkalskiej jest odległy o 97—75 wiorst od Nerczyńska Sretiensk, na prawym brzegu Szylki, najpiękniejsze i najmiłsze miasto z całego okręgu Zabajkalskiego.

W tem miejscu zaczyna się podróż z biegiem wody po Amurze i Szylce na pięknych parowcach, budowanych według systemu amerykańskiego.

Na wiosnę i jesienią, wody Szylki, Amuru, Ussuri i Sungacza, przybierają tak bardzo, że można być zawsze pewnym dobrej przeprawy, na wet przejazdu do jeziora Chanka.

Przeciwnie, w lipcu podróż jest bardzo nieprzyjemna z powodu niskiego stanu wody na tych rzekach.

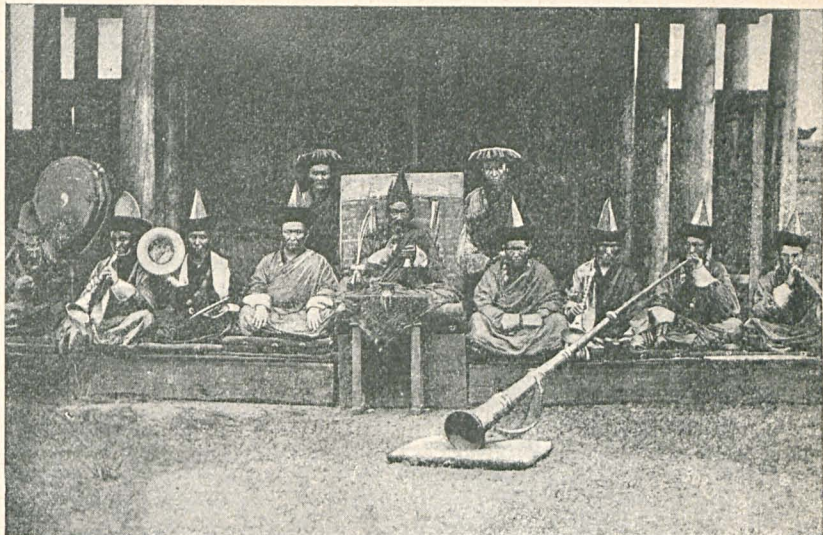
Zamiast jechać koleją od Chabarówki, rezydencji gubernatora amurskiego, do Władywostoku, można wybrać drogę wodą od Sretienska do Kamień-Rybołowa na jeziorze Chanka. Bilet 1-ej klasy kosztuje wtedy 82 rub. 50 kop., 2-ej 35 rub. 30 kop., a 3-ej klasy 10 rub. 9 kop.

Od Sretienska do Rybołowa odległość wynosi 2.781 w., a stąd pozostaje jeszcze do Władywostoku 200 w., po ślicznej, romantycznej drodze.

Z punktu strategicznego, droga Syberyjska jest niesłychanie ważna, ale zachodzi duża wątpliwość, czy odpowie pokładanej w niej nadziei — poprowadzenia wschodnio-azyatyckiego handlu przez Syberję, bo nigdy nie będzie w stanie wytrzymać konkurencji z taniością taryfy frachtowej parowców.

Przewóz puda herbaty parowcem z Hańkou, lub Tientsinu do Odesy kosztuje 60 kop.: o ileż procentów musiałaby być obniżona taryfa kolejowa, aby mógł konkurować z taryfą wodną!

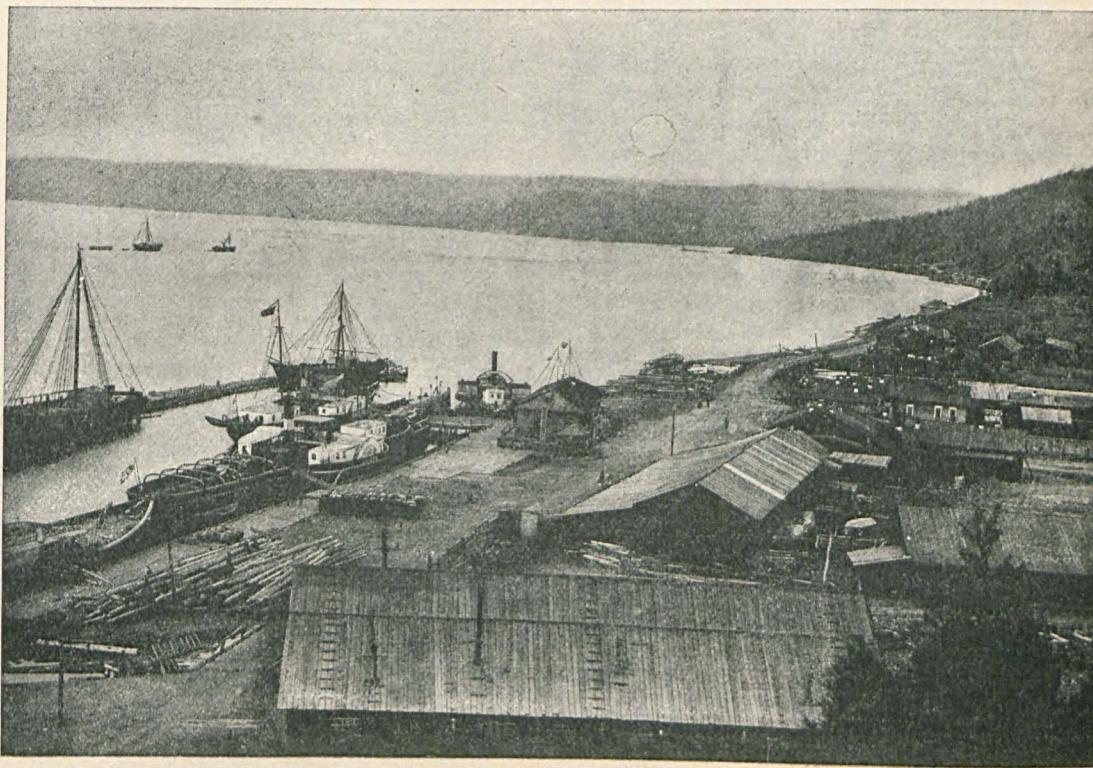
Wpłynąć jedynie może na transport herbaty okoliczność, że herbata w morskiej podróży wilgotnieje i staje się mniej smaczną, niż tak zwana „karawanowa.“ Ogromną ilość herbaty spożywa również Syberja i Rosja środkowa, dla których dogodniejszym jest dowóz kolejowy.



Muzykanci Buryaccy.

Zresztą ruch towarowy na kolei Syberyjskiej w doskonałej mierze zabezpieczają produkty syberyjskie: zboże, skóry, łój, miód, orzechy cedrowe i t. d. Skoro dołączymy możebny wywóz z Mongolii wełny, mięsa, żywych baranów i wołów, oraz innych produktów pasterstwa, będziemy mieli pojęcie o rzeczywistym znaczeniu kolei Syberyjskiej. Nie grozi ona konkurencją transportowi wodnemu, ale ogromnie zmieni warunki życia w Azji Środkowej, Syberji, Mongolii. Przyspieszy wymieranie starych stosunków i dzikich ludów tubylczych, stworzy nowe przedsiębiorstwa, środowiska współżycia i nowe zwyczaje. Ruch towarowy już obecnie jest o wiele większy, niż przypuszczano przy obliczaniu pierwotnego planu. Zjawiała się potrzeba zmiany szyn lekkiego formatu na szyny ciężkie, trwałe, zdolne wytrzymać przebieg cięższych pociągów i w większej ilości. Nasypy okazały się za wąskie, a nieprzewidziana na razie potrzeba drugiego toru, o którym mówią obecnie, jest uniemożliwiona rozmiarami zbyt wąskich mostów.

W skutek tego, oraz wskutek zasp śnieżnych, zamieci i mrozów niezwykłych, kolej Syberyjska w żadnym razie nie wytrzymałaby współzawodnictwa z projektowaną przez Anglików koleją przez południowe Chiny, Tybet, Indye, Persję, aż do Sueskiego kanału i Afryki z jednej strony, a z dru-



Stacja Mysowaja nad jeziorem Bajkalskiem.

giej strony przez Bostor do Konstantynopola i kolei europejskich.

Aby móżdż skutecznie z podobną koleją konkurować, kolej Syberyjska musiałaby być z gruntu przebudowana.

Ruch pasażerski jest już bardzo znaczny, a z czasem pewnie wzrośnie. Wagony pasażerskie kolei Syberyjskiej są najlepsze w Rosyi.

Bilet 2-ej klasy od Petersburga do Irkucka (5,718 w.) kosztuje 41 rub. 70 kop., a 3-ej zaledwie 27 rub. 80 kop. Podróż trwa 266 godz. 50 minut, ale nie męczy wcale wobec wygodnego urządzenia wagonów, przytem bilet ważny jest na 16 dni, co umożliwia odpoczynek i zwiedzenie którego z miast po drodze.

Pociągi komunikacji bezpośredniej (ekspresy) wyruszają z Petersburga do Irkucka tylko raz na tydzień.

Z KRAKOWA.

Niezapomniane uroczystości jubileuszowe Jagiellońskiego uniwersytetu znalazły wspa- niałą i godny epilog w tegorocznym zjeździe lekarzy i przyrodników polskich, który przez pięć dni z rzędu obradował w murach Krakowa, a niezwykle bogaty i cenny plon naukowy swych prac złożył w hołdzie prastarej *Almae matri Jagellonicae*. Ze wszystkich, najbardziej nawet oddalonych stron zjechało się w imponującej cyfrze około tysiąca osób, najwybitniejsi i najpoważniejsi przedstawiciele i pracownicy nauk przyrodniczych, którzy w dobrze zrozumianym interesie nauki i cierpiącej ludności zapragnęli zjednoczyć się na chwilę i podzielić spostrzeżeniami i wynikami swych badań. A dodało zjazdowi temu niemało znaczenia i powagi, że w gronie jego uczestników znaleźli się nie tylko ci mężowie, których nazwiska otoczyła już rozgłosna sława i zasługa, nie tylko głośni badacze, lub zasłużeni w literaturze i praktycznym działaniu profesorowie, ale także mnogi zastęp lekarzy praktycznych, oraz młodych przyrodników.

Gdy zaś obecnemu, dziesiątemu już z rzędu zjazdowi lekarzy i przyrodników przypadło w udziale wziąć puściznę po niedoszłym przed dwoma laty, wskutek zakazu władz pruskich, ósmym zjeździe poznańskim, stać się on musiał poważnym kongresem, którego znaczenie wybiegło daleko po za ramy zwykłych zjazdów naukowych.

Jako trwałe uniwersyteckiego jubileuszu pamiątki pozostały do tej chwili jeszcze dwie wystawy, związane ściśle z niedawnym obchodem. Pierwszą jest jubileuszowa wystawa zabytków z epoki Jagiellońskiej, urządzona w krużgankach klasztoru franciszkańskiego przez komitet, złożony z grona konserwatorów i historyków sztuki. Ogłoszony w tych dniach drukiem obszerny wystawy tej katalog pozwala dokładnie zorientować się w bogactwie nagromadzonych różnorodnych zabytków najświetniejszej epoki naszej cywilizacji. Sposobność to rzadka i bodaj czy nie jedyna oglądania zebranych razem tylu cennych zabytków, wskrzeszających całą świetność kultury XVI wieku.

Obok zabytków i pamiątek, związanych z dziejami uniwersytetu, obok całej galeryi portretów i biustów królów i książąt z dynastyi Jagiellonów, przedmiotów i sprzętów kościelnych, ornatów, pierścieni, haftów, makat i t. p., obok rzadkich dyplomów, druków, monet, pieczęci, rycin, narzędzi astronomicznych z XVI w., zwraca tu uwagę miłośników sztuki niesłychanie bogata kolekcja obrazów najgłośniejszych mistrzów współczesnej epoki, a między nimi 15 obrazów słynnego Hansa Suesa z Kulmbachu, malarza norymberskiego, towarzysza i pomocnika głośnego Albrechta Dürera. Obrazy te, do ostatnich czasów mało znane nawet historykom sztuki, gdyż dopiero prof. M.

Sokołowski w r. 1883 rozstrzygnął sprawę ich autentyczności, mieściły się w drzewcach skarbcu kościoła N. P. Maryi i stamtąd dostały się na wystawę jako najcenniejsze obrazy w Polsce z pierwszej ćwierci XVI w. Wystawiają one legendową historię św. Katarzyny Aleksandryjskiej, oraz historię św. Jana Ewangelisty, ujętą w cykl jasnych i prostych kompozycji, należących pod względem techniki malarskiej i rysunku do epoki przejścia od średnich wieków do renesansu. Podczas gdy galerye takich miast, jak Berlin, Monachium, a nawet Norymberga posiadają zaledwo po jednym lub dwu obrazach Suesa, Kraków ma ich obecnie 15, tak, że tu przyjechać musi historyk sztuki, pragnący zapoznać się z twórczością tego głośnego malarza. Wszystkie zabytki, zgromadzone na Jagiellońskiej wystawie, pochodzą ze zbiorów katedry na Wawelu, z kościołów krakowskich, mó-



D-r Śliwiński.
Dyrektor Wystawy Przyp. Lekarskiej.

zeów krakowskich i lwowskich, oraz zbiorów prywatnych Potockich, Tarnowskich, Lubomirskich, Popiełłów i Sapiehów. Organizatorem głównym wystawy był kustosz muzeum narodowego, p. Teodor Nieczuja Ziemiecki, którego obecnie

po śmierci ś. p. prof. Łuszczkiewicza, uważają powszechnie jako przyszłego dyrektora muzeum Narodowego. Drugą wystawą, związaną niemniej ściśle z ubiegłym jubileuszem, jest otwarta w gmachu *Collegii Novi* wystawa darów i pamiątek nadesłanych z powodu 500-letniego jubileuszu uniwersytetu. Mieści się ona w gabinecie rektora, oraz sali posiedzeń senatu, a mnogość nagromadzonych tam przedmiotów, darów, adresów i pamiątek jest wymownym świadectwem, jak szeroki oddźwięk znalazł jubileusz w społeczeństwie polskim i w całym świecie. Nadesłane adresy oprawiono w wielkie księgi, a z telegramów utworzono album, które będzie dla uniwersytetu trwałą i cenną pamiątkę podniosłych chwil jubileuszowych.

W teatrze miejskim, osieroconym, jak zwykle, na przeciąg dwóch letnich miesięcy przez personel dramatu, rozgościła się sprowadzona przez dyrekcję we własny zarząd i na własne ryzyko operowa trupa włoska. Aczkolwiek przedstawienia Włochów pod względem wokalnym są zupełnie poprawne i staranne, a wzorowy zespół chóralny nadaje im cechę artystyczną, publiczność niezbyt skwapliwie uczęszcza do teatru, pomimo ożywionego i urozmaiconego repertuaru. W gronie solistów pierwszorzędnymi siłami są śpiewaczki Colombetti i Govoni, oraz panowie Gandolfi (basista), Betti, Cavara, Moro i Cokinio (tenorowie), barytonista Coletti. Zachęcającymi nowościami były opery „Cyganerya“ Pucciniego i „Manon“ Masseneta, ale żadna z nich nie osiągnęła trwałszego powodzenia. Jeżeli rada miasta nie uwzględni trudnego położenia dyr. Kotarbińskiego i przez udzielenie subwencji za ten sezon opery nie uratuje go od niedoboru, to eksperyment tegoroczny z operą odbić się może dotkliwie na finansach teatru.

Aby wyrównać dotkliwe straty, jakie poniósł personel teatru przez ubytek kilku pierwszorzędnych sił, zaangażowanych w jesieni do teatru

lwowskiego, pozyskał p. Kotarbiński kilka młodszych obiecujących sił z teatrów prowincjonalnych i ze szkoły dramat. warszawskiej, a nadto pp. Zawadzkiego, Sosnowskiego i p. Ordonównę z teatru lwowskiego, tak, że personel, skompletowany na razie we wszystkich działach, gotuje się pełen otuchy do jesiennej kampanii. Czy te dobre nadzieje ziszczą się, a rzeczywistość nie zawiedzie, przekonamy się niebawem; to jednak jest faktem, że scena tutejsza ma wielką siłę asymilacyjną, a pozostałe kadry artystyczne, przy pewnym wysiłku ze strony reżyserji łatwo stworzyć mogą ansambl zupełnie artystyczny. Miejmy nadzieję, że teatr krakowski, który z cięższych już przesileni wychodził zwycięsko, i tym razem utrzymać się potrafi przy swoich tradycjach na dotychczasowym artystycznym poziomie, dzięki życzliwemu poparciu i wyrozumiałości swojej publiczności.

W. P.

Nasze ryciny.

Stanisław Grocholski: Ślepa babka. — Jest to obrazek rodzajowy, wystawiający scenę z życia wiejskiego. Para młodych figlarek bawi się w ogrodzie wiejskim w ślepa babkę z młodzieńcem, który z zawiązanymi oczyma goni za jedną z pańien i wpada przytem na ławkę. Artysta oddał doskonale żywy ruch rozbawionych pańienek i niezgrabny chód oślepiętego chwilowo młodzieńca.

Józef Brandt: Moment krytyczny. Jak zwykle u Brandta, bohaterami obrazu są konie, których ruch, rasę, temperament artysta oddaje, jak nikt może dzisiaj. Pod względem treści obraz należy do utworów rodzajowych i wystawia spotkanie na grobli. Z jednej strony jedzie pańska bryka, zaprzężona w czwórkę dzielnych bachmatów, które zdają się spoglądać z pogardą na żydowską szkapę, ciągnącą wózek, zsuwający się ze stoku grobli. Całości dopełnia typowy krajobraz ukraiński.

Franciszek Skarbina: Wędrzenie śledzi. Jest to motyw z życia rybaków morza Bałtyckiego. Grupa rybaczek siedzi nad wielką kadznią, napelnioną śledziami, i przygotowuje ryby do wędzenia, oczyszczając je i nawłóczając na długie pręty. W głębi jedna z kobiet odnosi gotowy transport do wędzarni. Obraz odznacza się doskonałą charakterystyką typów i dobrymi efektami oświetlenia.

Humbert I—Wiktor Emanuel III.

Diszą o zmarłym królu Humbercie włoskim, że był fatalistą. Gdy swego czasu wybierał się do nawiedzonego przez cholere Neapolu, a otoczenie chciało go od tego zamiaru powstrzymać, król miał odpowiedzieć: „Nikt nie żyje dłużej, niż mu jest przeznaczone”—i pojechał. W Neapolu zwiedzał najuboższe dzielnice i szpitale choleryczne, poczem wrócił zdrów do domu.

Uczestniczył też Humbert osobiście w dwóch wielkich zajściach: 1859 i 1866 r., które zadecydowały ostatecznie o zjednoczeniu Włoch. W kampanii 1859 r., jako młodociany porucznik, nie mógł jeszcze indywidualności swej zaznaczyć, ale w r. 1866 pod Custozzą, jako następca tronu, sprawował już dowództwo dywizji i dobrze zapisał się w pamięci towarzyszków dzielnością i odwagą żołnierską.

Okoliczności te podnosi też jego następcę w proklamacyi do narodu, obwieszczającej wstąpienie na tron. Nie pochłonęły króla cholera i wojna, w których narażał życie, aż zginął z ręki mordercy w chwili najmniej spodziewanej.

Dnia tego, który tak krwawe piętno zaznaczył w historii Włoch, król Humbert był w doskonałym humorze, dużo rozmawiał, nucił sobie,

a podczas popisu gimnastycznego, który zaszczylił swoją obecnością, zachowywał się z taką swobodą, jakby—rozmyślnie chciał okazać ludowi swoją miłość i zupełne zaufanie.

To zbliżenie się króla do narodu było główną i zasadniczą cechą panowania Humberta I.

Zawsze, wszędzie, gdzie tylko była okazyja—czy „złe powietrze“, czy trzęsienie ziemi nawiedziło kraj, ów „Samarytanin w królewskiej pur-



Królowa Helena.

purze“ zjawiał się wśród dotkniętych klęską, osobiście niosąc pomoc i ukojenie.

Zaledwie w miesiąc po objęciu rządów, gdy po raz pierwszy, jako król, wjechał do Neapolu, wykonano zamach na jego życie. Był nawet lekko ranny sztyletem w ramię. Odpowiedzią króla na to było darowanie sprawcy kary śmierci. W zwykłym, codziennym życiu przyświecała Humbertowi ta sama zasada—miłości i przebaczenia.

Było to w nim dodatnim, pięknym rysem charakteru, o ile wynikało z usposobienia, a prawdziwą mądrością polityczną, o ile było sumiennym wykonaniem programu orędzia. Albowiem nawiązanie i utrwalenie serdecznego stosunku pomiędzy narodem a koroną, reprezentujące jego Zjednoczenie było poważnym i niełatwym zadaniem Humberta. Dynastia sabaudzka była wpraw-

dzie już popularną, a Wiktor Emanuel, w otoczeniu znamienitych współpracowników swoich, opromieniony aureolą patryotyczną, dał dobrą podstawę temu stosunkowi. Niemniej przeto, gdy chwile zapалу minęły, i potrzeba było w pokoju umocnić to, co zdobyto przez wojny, pozostały tu i owdzie zadrażnienia i nawyknięcia, które dla nowego porządku rzeczy nie mogły być przyjazne. Humbert tedy starał się zatrzeć te różnice ostatecznie, a nadto pozyskać dla monarchii narodowej serca tych, którym czerwone koszulki garybaldezyków ukazywały inny ideał polityczny. I trzeba przyznać, że król Humbert zadanie to spełnił z całym oddaniem się przewodniej idei. Był uczonym królem konstytucyjnym i—w całym znaczeniu wyrazu—zaczynającym człowiekiem; więcej nie zależało od niego. Może to wyglądać na paradoks, ale rozważając sprawę, odbieramy wrażenie, że i przez tragiczną śmierć swoją Humbert I złożył ofiarny posiew dla wzmocnienia swojej idei. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jeśli ostatnimi czasy monarchia włoska zbyt niedomagała skutkiem rozczłonkowania na niezliczone stronnictwa i frakcje, to kula mordercy, przeszywająca serce szlachetnego króla, podzielała na umysły otrzewiając i wskaże im kierunek, od którego wielu zbroczyło. Widać to już dziś z rozlicznych manifestacji.

Zwłoki Humberta I spoczęły już w Panteonie rzymskim, a tron Kwirynału zajął Wiktor Emanuel III. *Le roi est mort—vive le roi!*—zwykła kolej życia.

Naturalnie, że o młodym królu niewiele jeszcze da się powiedzieć. Wszyscy, którzy pozostawali w bliższym stosunku do niego, a zwłaszcza byli nauczyciele, używani teraz przez „interwenerów“—chwalą jego poważną dążność do kształcenia się i niepospolite poczucie obowiązku. O ile życie usprawiedliwi tę opinię, zobaczymy dopiero. Dotychczas, teraźniejszy król uprawiał praktycznie tylko pole wojskowe. W kołach fachowych uważano księcia Neapolu za dobrego oficera, ale zarówno w tych rzeczach, jak w kwestyi uzdolnienia i wykształcenia ogólnego, nie można z góry przesądzać, gdzie się kończy prawda, a zaczyna pochlebstwo—zwyczajne w podobnych sytuacjach. Przypisują też nowemu królowi stanowczy charakter. Jest on jakoby zwolennikiem energicznego kierunku w polityce. Niedawno, jeszcze będąc następcą tronu, Wiktor Emanuel miał się wyrazić, że dla odrodzenia Włoch, chorych na radykalizm u dołu, a na frakcje

u góry, potrzeba na czele rządu „myśliciela, poety i pięści.“ I może to nie jest aforyzm bez prawdziwej treści? Mądrość w połączeniu z intuicją, z dobrem natchnieniem i z siłą czynu—to drocenne przymioty kierownika rządu, zresztą nietylko we Włoszech.

Nakoniec niezbędne daty: Król Wiktor Emanuel III urodził się 11 listopada 1869 r., w r. 1881 oddany do szkoły kadeckiej w Neapolu, w r. 1884



Wiktor Emanuel III.

przeszedł do szkoły wojskowej w Modenie, a w 1886 wstąpił do służby wojennej jako ochotnik. Przeszedł wszystkie rodzaje broni, w r. 1894 został generał-porucznikiem i dowódcą dywizji we Florencji. Na tem stanowisku, w r. 1896, w Rzymie, zaślubił księżniczkę Helenę czarnogórską. Dzieci dotychczas nie ma młoda para królewska.

Jakie będą polityczne dążenia nowego króla, o tem naturalnie krążą tylko pogłoski. Jedni więc utrzymują, że jest przeciwnikiem wielkiej akcji kolonialnej, sądząc, iż Włochy za mało są skonsolidowane w sobie, aby taką politykę mogły podjąć z dobrym skutkiem; inni zapewniają, że będzie usiłował zwolna wydobyć się z więzów trójprzymierza. Na to wszystko jednakże niema żadnych danych.

S.

Kronika powszechna.

Zjazd wioślarzy w Warszawie.

Odbite w dn. 5 b. m. regaty warsz. Tow. wioślarskiego, z uwagi na przybycie delegatów z zaprzyjaźnionych Towarzystw wioślarskich zamiejscowych, przybrały uroczysty charakter „święta wioślarskiego.“ W gościnę do „naszych dzielnych“ przybyli koledzy po wiośle z Krakowa, Kalisza i Włocławka, aby zmierzyć się na falach naszej szarej Wisłoki. Drużynie krakowskiej, złożonej z młodych, ale wyćwiczonych sił wioślarskich, przewodniczyli pp. Józef Rudnicki, prezes Tow., E. Symirowicz, dr. T. Rowiński, dr. E. Kubalski. W liczbie gości z nad Prośny mieli wioślarze warszawscy naczelnika tamtejszej przystani p. Dziedzickiego i sternika osady sześciowiośłowski, p. A. Milkego. Z Włocławka,

oprócz wioślarzy, stających do walki, przybyli wice-prezes Tow., p. J. Braun, naczelnik przystani, A. Górnikiewicz i członek komitetu, Fr. Zalewski. Los chciał, iż tylko Kaliszanie nie zdobyli żadnej nagrody. Aby uświetnić regaty i powiększyć liczbę nagród, redakcyja „Sportu“ ofiarowała od siebie cztery artystycznie wykonane żetony: dwa złote, srebrny i brązowy. Przyjęcie gości przez naszych wioślarzy było niezwykle serdeczne i na długo u wszystkich pozostanie w pamięci. Wielu Krakowian po raz pierwszy zawitało do Warszawy i, jak zapewniają, gród Syreni wrył im się w serca głęboko. Na rycinie naszej wyobrażeni są wioślarze na przystani. Około członków komitetu W. T. W. z wice-prezesem p. Mateckim na czele ugru-

powali się z prawej strony włocławscy ze swoim wice-prezesem, z tyłu Kaliszanie, z lewej strony Krakowianie z prezesem, a wzdłuż grupy na podłodze siedzi dzielna osada krakowska.

Życie społeczne.

Głos Narodu podaje szereg niezmiernie ciekawych cyfr z zakresu t. zw. moralności publicznej we Lwowie, a to za pierwsze półrocze r. b. Otóż w powyższym okresie meldowano w policji lwowskiej: kradzieży 963, rabunków 24, sprzeniewierzeń (finansowych) 32, oszustw 51, obrazy majestatu 4, gwałtu publicznego 8, uprowadzeń (zapewne kobiet) 5, wymuszeń i groźb 11, morderstw 2, uszkodzeń cielesnych 45. Oprócz tego aresztowano: za opilstwo 303 osoby, za włóczęgostwo 326, za żebranie 176, za „zbrodnię braku przy-

tułku“ 376, za powrót niedozwolony do Lwowa 142, za dręczenie zwierząt 17, nadto 44 osoby ukarano za to samo grzywnami. Wspomniane wyżej 4 wypadki obrazy majestatu korespondent tłumaczy tem, że właściwie tego rodzaju przestępstwa we Lwowie nie zdarzają się, a tylko niektórzy z niemających dachu i zarobku rozmyślnie coś takiego powiedzą w obecności świadków, ażeby zapewnić sobie nieco dłuższy pobyt w areszcie, a ściślej: utrzymanie.

Z prasy.

Slovansky Przhled dał pochlebną ocenę i charakterystykę poezji J. Żuławskiego i L. Rydla, oraz obszernie sprawozdanie z krakowskiego zjazdu historyków polskich.—*Das Litterarische Echo* pomieściło portret Stanisława Przyby-

szewskiego i ocenę jego utworów, podnosząc wysoko ich wartość i robiąc zarzut autorowi, że pod względem formalnym trzyma się niepotrzebnie wzorów Nietschego. — *Lud* lwowski ocenia monografię Ig. Matuszewskiego „Dyabeł w poezji,” wykazując jej znaczenie dla badań etnograficznych i zaznaczając, że „zebrać taką przestrzeń czasu, tyle dzieł na 200 kilku stronicach — to trud niemały i niemała zasługa; tem większą zaś jest ona, że pomieniona praca jest u nas jedyną w swoim rodzaju.”

Zmarli.

Maurycy Mitte. W ubiegły piątek, dn. 3 b. m., zmarł w Warszawie s. p.



Maurycy Mitte.

Maurycy Mitte, inżynier-górnicy, dyrektor szkoły technicznej Rotwanda i Wawelberga. Zmarły był wychowawcą b. Szkoły Głównej warszawskiej, a następnie kształcił się w instytucie górniczym w Petersburgu, którego później został profesorem i na stanowisku tem przebył lat dwadzieścia. W r. 1895 pp. Rotwand i Wawelberg powołali s. p. Mittego na dyrektora nowopowstającej szkoły technicznej przy ul. Mokotowskiej, którą to godność zmarły piastował do zgonu. Przed otwarciem jeszcze szkoły s. p. Mitte brał czynny udział w komisji budowlanej przy wzniesieniu gmachu dla przyszłej uczelni, służąc zawsze radą praktyczną i specjalną. Zarówno na stanowisku profesora instytutu górniczego, jako też dyrektora szkoły, s. p. Mitte umiał sobie zaskarbić szczerą miłość młodzieży, czego dowodem najlepszym był pogrzeb zmarłego dyrektora. W orszaku żałobnym wziął udział spory zastęp dawnych uczniów. Jako człowiek charakteru prawego, s. p. Mitte cieszył się powszechnym szacunkiem i uznaniem.

Kroniczka fotograficzna.

Często się zdarza, że przy wywołaniu klisz, szczególnie przeeksponowanych, bardzo silnie rozcieńczonym wywołaczem, nie możemy otrzymać odpowiedniej siły, i utrwalona klisza nie jest zdatna do kopiowania. Skuteczniej, niż wzmacnianie sublimatem, pomaga następujące postępowanie: Przygotować płyn, składający się: z 5 grm. bromku potasu (kali bromatum), 5 grm. siarczynu miedzi (cuprum sulphurosus), 100 cent. sześć. wody dy-

stylowanej. Po zanurzeniu kliszy w płyn, zauważymy, iż zacznie ona nabierać barwy białej, a obraz na niej zniknie prawie zupełnie. Kiedy zbieleje, dość silnie przemywamy ją wodą i przy dziennym, niezbyt silnym, świetle wywołujemy wywołaczem adurolowym, hydrochinonowym, lub amidolowym, jakiego do wywołania klisz wogóle używać zwykliśmy. Nikły obraz na kliszy wystąpi silnie. Kiedy otrzymamy żadaną siłę, sfiksować kliszę w słabym roztworze podsiarkonu sodu (1 część na 15 wody), przemyć starannie i wysuszyć. Nadmienić także wypada, iż przed włożeniem w płyn potrzeba kliszę płókać dobrze.

Czarne plamy z ubrania i białych materyi, powstałe z powalania azotanem srebra (lapisem), można wywabiać, myjąc silnymi roztworami bromku potasu i siarczynu miedzi, branyymi w równych częściach, następnie przemywając roztworem podsiarkonu sodu i na koniec wodą. Świeże plamy, powstałe z azotanu srebra, można też usuwać za pomocą pocierania zwilżonymi kawałkami jodku potasu (kali jodatum), a potem wodą.

Odbitki na papierach żelatynowych powinny być suszone przez kładzenie ich na czystej, białej bibule, warstwą żelatynową do góry. Wszelkie wysuszanie bibułą, przykładaną do powłoki, jest niebezpieczne, gdyż ją uszkodzić może. Odbitki powinny być obcinane i przyklejane na sucho, przy czem poleca się klej podług poniższej recepty: Zmieszać dokładnie 100 grm. płynu gumy arabskiej, rozpuszczonej w wodzie o tyle, aby tworzyła dość gęstą i lepki klej; 15 grm. zwykłej, czystej mączki cukrowej, oraz kilka kropel gliceryny. Gliceryna nadaje masie elastyczność, cukier zaś wpływa na klej bardzo dodatnio, wstrzymując szybkie wysychanie gumy. *Wł. K.*

Polityka.

Zamordowany król Humbert spoczął już na wieki w Panteonie rzymskim, a na tronie Włoch Zjednoczonych zasiadł Wiktor Emanuel III. Zabójca króla, Bresci, trzymany jest w więzieniu medyolańskim. Dokonano licznych aresztowań anarchistów, gdyż śledztwo wykryło ślady szeroko rozgałęzionego sprzysiężenia. Jednym z prawnych aktów rządu włoskiego

za nowego króla ma być zaprojektowanie rządom państw uchwalania ogólnych, międzynarodowych środków zwalczania anarchizmu. W kilka dni po zabiciu króla Humberta spełniono zamach na szacha perskiego w Paryżu. Zamach ten nie udał się; zbrodniarz nie mógł nawet wystrzelić, gdyż towarzyszący szachowi adjutant wytracił rewolwer z ręki napastnika. Naturalnie, jest to także anarchista. — W Serbii odbyły się już zaślubiny króla Aleksandra z wdową Maszin. Król wydał przytem amnestję ogólną dla przestępców politycznych, od której wyłączony został jeden tylko Nikolicz, intelektualny sprawca zamachu na Milana. Nowy gabinet serbski zapowiada rozległą politykę reform wewnętrznych. — Umarł panujący książę sasko-kobursko-gotajski Alfred. Był on drugim synem królowej Wiktorji angielskiej. Jako książę Edyngurski, przed kilku laty odziedziczył osierocony tron księstwa Koburg-Gotha. Sam także nie zostawił dziedzica. Następcą jest małoletni książę Albany, a regentem książę Hohenlohe-Langenburg. — W Chinach sytuacja prawie bez zmiany, na-



Alfred, książę Sachsen-Koburg-Gotha.

stało nawet pewne pogorszenie, gdyż Anglia widocznie odsuwa się od koncertu mocarstw. Stwierdzono przynajmniej jedno: że posłowie w Pekinie żyją (oprócz niemieckiego) i są trzymeni jako zakładnicy. Wojska związkowe miały ruszyć na Pekin w 20,000 ludzi, ale pochód wstrzymano, ponie-

waż Anglicy nie byli gotowi, a tymczasem wojska chińskie ponownie uderzyły na Tientsin i odebrały część miasta, oraz niektóre forty.

Ze sztuki

„Revue illustrée” poświęciło numer specjalny panoramowemu obrazowi Jana Styki p. t. „Męczeństwo chrześcijan za Nerona.”

Z literatury.

Francuska.

Lucyan Mühlfeld: Mauvais désir. — Autorem „Złego uczucia” jest jeden z „młodych,” i to z młodych, rokujących wielkie nadzieje. Czy i kiedy ziści je, niewiadomo; tyle było dobrych powieści, których autorowie nie mogli następnie zdobyć się na drugie równie wartościowe dzieła! Jak będzie z p. Mühlfeld'em, czas pokaże; w każdym razie dał on nam obecnie ciekawe studium chorobliwej zazdrości, zazdrości doprowadzającej do „złych uczuć,” dręczącej siebie i drugich. Pomimo, że akcyi niema prawie żadnej, powieść czyta się jednak z zajęciem, a charakter, choć bardzo średniej miary, są sympatyczne. Amatorowie lekkiego, bardzo lekkiego czytania mogą być zadowoleni w zupełności, ale z drugiej strony i czytelnicy, lubiący zastanowić się głębiej nad czytaną książką, z prawdziwym zainteresowaniem przerzuca „Złe uczucie.”

Z literatury muzycznej.

Arreat Lucien wydał dziełko, zatytułowane „La psychologie musicien” (Paryż, nakład Alemana). Na mocy faktów z życia muzyków i osobistych ich zwierzeń autor usiłuje wytłómaczyć zawity i tajemniczy mechanizm pracy kompozytorskiej. Poczytność książki wzmagają wyjątki z listów i pamiętników wybitniejszych twórców muzycznych, stanowiące dział dosyć obfity.

We Włoszech wyszło dzieło p. Cameroniego p. t.: „Lorenzo Perosi i jego cztery pierwsze oratoria.” Nakreśliwszy dosyć wyczerpująco życiorys muzyka, autor dał czytelnikom zarazem szereg przystępnych komentarzy, ułatwiających zrozumienie tekstu, oraz jego ilustracyi muzycznych.

Z muzyki.

W Moskwie na dorocznym popisie scenicznym uczniów i uczenie konserwatorium palmę pierwszeństwa w tym roku otrzymała klasa prof. śpiewu, p. Horbowski. Wychowawcy jej: panna Dorna, oraz pp. Sliwiński i Porubiniowski, wykazali głosy dobrze postawione, oraz wyrobioną wszechstronnie technikę.

W Konstantynopolu ukazał się zbiór utworów muzycznych rodaka naszego, p. Ludwika Gropplera, właściciela łomów marmurowych w okolicach Carogrodu.

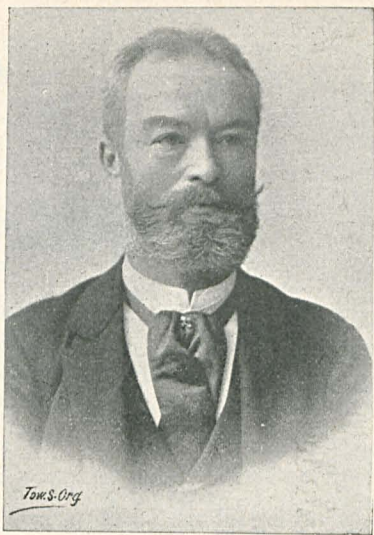
W Helsingforsie odbył się niedawno festiwal muzyczny, w którym wzięło udział przeszło 2,500 muzyków. Słuchacze zgromadzili się w liczbie 25,000 osób. Program, prócz części międzynarodowej, mieścił także i dział historyczny. Najwięcej zajęcia obudziły stare pieśni, odśpiewane z towarzyszeniem używanego niegdyś instrumentu „kantele,” przypominającego nieco nowożytną cytrę.



Dygnitarze chińscy, wracający z narady.



Feliks z Pławnic Pławicki,
prezes gal. Tow. ochrony zwierząt.



Aleksander Maresz,
vice-prezes gal. Tow. ochr. zwierząt.



D-r Józef Limbach,
sekretarz g. T. o. zw. i red. „Miesięcznika.”



Bronisław Gustawicz,
sekretarz krakowskiego T. och. zw.

Galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt z siedzibą we Lwowie w 25 ym roku założenia.

W dniu 23 stycznia r. 1876 zebrało się za inicjatywą ś. p. d-ra Eugeniusza Janoty, profesora uniwersytetu we Lwowie, znakomitego przyrodnika i opiekuna świata zwierzęcego, liczne grono osób i ułożyło zarys statutów stowarzyszenia ochrony zwierząt, zatwierdzonego następnie przez galicyjskie Namiestnictwo w dniu 4-m marca 1876. Obok d-ra Janoty stanęli Feliks z Pławnic Pławicki, właściciel ziemski, poseł do sejmu z ziemi Nowotarskiej i pierwszy założyciel Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem; Lucyan Tatomir, dyrektor seminarium nauczycielskiego; doktor Władysław Zajęzkowski, profesor politechniki; Włodzimierz hrabia Dzieduszycki, znany przyrodnik i założyciel muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie; Władysław Tyniecki, dyrektor szkoły leśnej; d-r Zygmunt Romer, d-r Izidor Szaraniewicz i d-r Wawrzyniec Żmurko, profesorowie uniwersytetu; Piotr Gross, dyrektor asekuracji krakowskiej; Władysław Zontak, kustosz

muzeum Dzieduszyckich; Władysław Gubrynowicz, księgarz; w końcu Mikołaj Rybowski, dyrektor szkół ludowych, i Jan Schneider c.-k. starszy radca skarbowy. Podczas wystawy krajowej w r. 1894, która skupiła całą Galicję na uroczym wzgórzu parku, nie pozostało po za innymi instytucjami i galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt. W pięknie udekorowanym pawilonie zajmowały uwagę widzów najrozmaitsze rekwizyty i postępowe przyrządy, mające za zadanie łagodzenie cierpień bydła w rzeźniach, ulgi dla zwierząt pociagowych, ułatwienie operacji weterynaryjnych i t. p. przedmioty. Cesarz Franciszek Józef I, zwiedzając wystawę w asystencji namiestnika Galicji, Kazimierza hr. Badeniego, dłuższy czas poświęcił pawilonowi Towarzystwa ochrony zwierząt, oglądał z niemałym zajęciem wystawione poszczególne przedmioty, słuchał objaśnień prezesa Pławickiego i nie szczędził słów uznania dla starań i zabiegów Towarzystwa. Uznanie to nie pozostało bez donośnego wpływu na dalszy rozwój Towarzystwa, które pod protektorem Eustachego ks. Sanguszki, b. marszałka krajowego,

później namiestnika Galicji, liczy obecnie około 600 członków, pięć filii: w Rzeszowie, Nowym Sączu, Gorlicach, Jasle i Kołomyi, tudzież przeszło 30-u delegatów w rozmaitych okolicach kraju. Organ instytucji: „Miesięcznik galicyjskiego Towarzystwa ochrony zwierząt,” obecnie redagowany przez sekretarza Tow., d-ra Józefa Limbacha, rozsyłany bezpłatnie w liczbie 1,000 egzemplarzy pomiędzy członków i innych adresatów, niemniej dla wielu szkół ludowych—dobiega już dziś okresu lat 25. Wydział Towarzystwa od lat kilku mniej więcej, mimo corocznych wyborów, składają: prezes *Feliks z Pławnic Pławicki*, I zastępca *Aleksander Maresz*, dyrektor urzędu poczt i telegrafów, II zastępca *d-r Henryk Max*, adwokat krajowy, sekretarz *d-r Józef Limbach*, profesor gimnazjalny, zastępca *Roman Ciszewski*, starszy nauczyciel, skarbnik *Adolf Mussil*, chemik sądowy, wydziałowi: pani *Teresa Wdowska*, żona st. inżyniera, *Józef Białynia Choledecki*, radca pocztowy i literat (pseud.: Walenty Ćwik), dalej *Stanisław Królikowski*, profesor weterynaryi, *Mikołaj Rybowski*, dyrektor szkoły realnej, zastępcy wydziałowych:

panna *Antonina Deymówna*, ksiądz *Józef Lehman*, *Julian Smalański*, urzędnik krakowskiej asekuracji, i *Walery Raszyński*, urzędnik kasy oszczędności, w końcu członkowie komisji kontrolującej: *Lubin Prus Wieckowski* i *Adolf Baumgardten*. W bezpośrednim związku z galicyjskim Towarzystwem ochrony zwierząt stoi także samo towarzystwo krakowskie, założone w r. 1887 przez prof. *Bronisława Gustawicza*. Grunt nie był tam w tej mierze podatny, stąd powołanie do życia instytucji, utrzymanie jej wobec przeciwnych prądów wymagało wielkiej pracy i poświęcenia. Podjął zadanie prof. Gustawicz, a liczne broszury, ulotne pisma, doborowe artykuły w dziennikach i w „Opiekunie zwierząt,” przez dłuższy czas organie tego towarzystwa, świadczyły o niezmordowanej płodności i dobrych chęciach gorliwego autora. Obojętność ogółu zmroziła ostatecznie gorące zabiegi jednostki, chcąc tedy ratować upadające towarzystwo, połączono je z galicyjskim Towarzystwem ochrony zwierząt i przyjęto jego „Miesięcznik” także za własny organ.

Lwów, 1900 r.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

D-r J. Polak: Nauka o szczęśliwości. Warszawa, 1900.—Opatrzony tym wiele obiecującym tytułem dzieło d-ra Józefa Polaka jest owocem pracy długiej, gorliwej i sumiennej. Widocznym to jest z wielkiej obfitości spożytkowanego przez autora materiału. Ale stanowi też ono jaskrawą ilustrację do mądrego aforyzmu Schopenhauera, że obfitość materiału przedstawia nie tylko pożytek, lecz i niebezpieczeństwo, i że niebezpieczeństwo polega na tem, aby zamiast opanowania materiału przez autora nie nastąpiło opanowanie autora przez materiał. Zdaje się, że z takim opanowaniem autora przez materiał mamy tu właśnie do czynienia. Zdaje się, że d-r Polak, zamierzający przedmiot obrany zbadać jak naj-

gruntowniej, poczyniwszy z bardzo licznych przeczytanych przez siebie w tym celu dzieł obszerne wyciągi i streszczenia, nie mógł się już następnie powstrzymać od udzielenia tych wyciągów i streszczeń publiczności, od wprowadzenia jej, że tak powiem, do swojej pracowni, zamiast podania jej wyników tylko swych rozległych studiów. Co ważniejsza, nie widać nawet, aby autor sam doszedł do jakichś wyników jasnych i pozytywnych, aby jego długa i mozolna praca przyniosła mu w zysku jakieś określone poglądy bądź to na ewolucję historyczną pojęcia szczęśliwości, bądź na to, co za szczęśliwość należy uważać, i jakie do jej osiągnięcia najsukuteczniejsze prowadzą środki praktyczne. Powyższe uwagi nie stanowią jesz-

cze same przez się zarzutu. Szczęśliwość to przedmiot tak rozległy, tak wielokrotnie i wielostronnie rozważany i badany, a nareszcie pod względem teoretycznym i praktycznym tak ciekawy, że i samo tylko zestawienie poglądów na najwybitniejszych myślicieli mogłoby być z wielu względów interesującym i pouczającym. Ale pod warunkiem, aby w zestawieniu tem był jakiś system i jakaś zasada, pod warunkiem, aby było widocznym, jakim jest cel i jakim odpowiedni do niego układ dzieła. Książka nosi tytuł: „Nauka o szczęśliwości.” Gdybyśmy w interpretacji tytułu mieli się ściśle trzymać gramatyki, to ten przyimek „o” zapowiadałby poniekąd charakter dzieła teoretyczny, nie zaś praktyczny, bo książkę o celach praktycznych

właściwiej byłoby nazwać „Nauką szczęśliwości.“ Wprawdzie pojęcie szczęśliwości, mimo swej niezmiernie doniosłości praktycznej, jest zbyt ciasne, aby mogło stanowić przedmiot osobnej nauki, zajmującej w systemie nauk określone miejsce. Jest na to zbyt ciasne i zbyt sztuczne. Właściwe przedmioty poszczególnych nauk w ścisłym tego wyrazu znaczeniu stanowią takie grupy zjawisk, które łączymy w jedno na podstawie ich cech nie podmiotowych, lecz przedmiotowych, na podstawie nie ich większej lub mniejszej doniosłości praktycznej dla nas, lecz wspólności ich cech, rozważanych niezależnie od naszych celów. Fizyką np. nazywa się nauka o takich ruchach ciał, które nie pociągają za sobą zmian jakościowych ich materii. Jest to określenie całkowicie przedmiotowe. Chodzi tu nie o to, czym te ciała lub te ich ruchy są ze względu na nasz pożytek lub naszą szkodę, lecz jedynie o to, czym się one różnią przedmiotowo od innych zjawisk, stanowiących przedmioty np. chemii, fizjologii, lub jakiegokolwiek innej nauki. Na osobną więc naukę o szczęśliwości w ścisłym ułożonym systemie nauk niema miejsca. Mimo to termin „Nauka o szczęśliwości“ jest możliwy, bo jak wszystko inne, tak i szczęśliwość, nie mogąc być przedmiotem osobnej nauki, może jednak być przedmiotem badania naukowego i teoretycznego, może być przedmiotem monografii naukowej, zmierzającej bądź to ku zanalizowaniu i ustaleniu pojęcia szczęśliwości, bądź ku wyświetleń jego ewolucji historycznej. Wreszcie, jeżeli tylko zgodzimy się na cokolwiek luźniejsze pojmowanie wyrazu „nauka,“ to będziemy mogli uznać prawowitość nie tylko nauki o szczęśliwości, lecz i nauki o szczęśliwości, w tem znaczeniu, w jakim mówimy: „nauka terapii,“ „nauka pedagogiki,“ „nauka fechtunku,“ „nauka gry na skrzypcach,“ t. j. właściwie w znaczeniu pewnej umiejętności praktycznej. Moglibyśmy się zresztą nie certować z autorem o tytuł, gdyby treść i układ książki, jakkolwiek zatytułowanej, nie pozostawiała co do jej zamiaru, jej założeń i jej znaczenia wątpliwości. Niechby więc książka d-ra Polaka była bądź to monografią analityczną lub historyczną pojęcia szczęśliwości, bądź eudajmonologią w praktycznym tego wyrazu znaczeniu, czyli zbiorem rozważań i wskazówek, skierowanych ku osiągnięciu szczęśliwości osobniczej i społecznej, jako celu, bądź wreszcie zestawieniem poważnych i interesujących opinii o jednym, albo o drugim z tych przedmiotów. W każdym z tych wypadków mogłaby mieć znaczną wartość i przynosić znaczny pożytek, byleby była systematyczną i ułożoną podług jakiejś stałej zasady kierowniczej. Ale właśnie ten brak systemu i zasady przewodniej jest jej brakiem, najdotkliwiej czuć się dającym. Z trzech powyżej wymienionych typów pracy o szczęśliwości dzieło d-ra Polaka najbliższem jest do trzeciego. Jest ono przeważnie zbiorem znacznej liczby wyciągów i streszczeń, niekiedy bardzo obszernych, a często i przytoczeń dosłownych. Bierzymy np. rozdział o „warunkach podmiotowych szczęśliwości“ (str. 48—135). Zaznaczywszy, że głównymi czynnikami podmiotowymi są uczucia przyjemności i przykrości, (które niewłaściwie i zbyt ciasno nazywa rozkoszą i bólem), autor rozpoczyna, jakby się zdawało, od badania uczuć, ale na str. 53, niewiadomo dlaczego, przerywa nagle to badanie i przechodzi do czynników takich, jak charakter, temperament, wiek i płeć. I rozpoczyna się długi (do str. 92-iej trwający), szereg przytoczeń i streszczeń z Kanta, Bain'a, Schopenhauera, Labruyère'a, Teofrasta, Paulhan'a i innych. Żadne z tych streszczeń nie zaznajamia czytelnika z całością odpowiednich poglądów danego autora, żadne nie wyświeśla należycie przedmiotu, o żad-

nem nie daje się wyrozumieć, dlaczego jest przytoczone to właśnie miejsce, nie inne. Na str. 92 autor powraca do uczuć i znowu do str. 134 mamy z niemi to samo, co poprzednio z charakterem i temperamentami. To samo widzimy w rozdziałach: „o dobrach“ (str. 135—170), „o małżeństwie“ (str. 170—192), „o śmierci“ (str. 193—213), wreszcie „o całości życia“ (str. 213—245). Wszędzie zdaje się, że autor, zamiast pisać dzieło, przepisywał poczynione do niego notatki i wyciągi, sklejał je niekiedy (niezawsze) pomiędzy sobą luźnymi uwagami. Ostatni rozdział „o szczęśliwości gromad ludzkich“ (str. 245—292) zawiera, oprócz nieodczownych cytat, lakoniczny wyraz nadziei, że pokój powszechny jest w przyszłości możliwym. Część II a książki, obejmująca stron 172, zawiera dodatki i uzupełnienia, znajdujące się z właściwym przedmiotem dzieła w luźniejszym niż zawartość części I-iej związku, zresztą zredagowane zupełnie w ten sam sposób: jest to szereg streszczeń obszernych i nieraz mozolnych, ale niesystematycznych i niekrytycznych. Tym sposobem książka d-ra Polaka jest właściwie zbiorem nieuporządkowanych materiałów do monografii pojęcia szczęśliwości. Tu i owdzie przyczepia do nich autor swoje uwagi w tym przedmiocie. Do takich należy np. żądanie, aby państwo uprzywilejowało materialnie małżeństwo „przez właściwy podział podatków, oraz za pomocą innych sposobów, w mocy rządu będących“ (str. 189). Z tych niezbyt gęsto po całej książce rozrzuconych luźnych uwag wnieść można, że autor w wielu razach przechyla się na stronę pesymizmu w stylu Schopenhauera, że za najodpowiedniejszą dla etyki zasadę uważa nakaz kategoryczny Kanta, że dla niewierności małżeńskiej ze strony męża pragnie wyważyć zupełną tolerancję i t. d. Wobec tego braku krytyczności względem przytaczanych poglądów, dziwnem się wydaje, że autor uznał za potrzebne złożyć na początku książki (str. 41—43) swoje całkowite wyznanie wiary metafizycznej, tem dziwniejszem, że wyznanie to następuje bezpośrednio po słusznej uwadze, że „dziwna jest zarozumiałość szkół filozoficznych, pragnących dowieść, że ta, lecz nie żadna inna zagadkę bytu rozwikłała, lub na właściwej co najmniej znalazła się drodze.“ Szanowny autor podaje pięć tez, które, niewiadomo dlaczego, uważa za „pewniki bezwzględne,“ a których treścią jest, że istnieje Przyczyna Najwyższa, Wola Wszechświata, która kieruje wszystkimi zjawiskami fizycznymi i psychicznymi, „które objawami są u nas popędy, ku zachowaniu bytu i rodzaju dążące, i wszelkie inne popędy, wykraczające nawet ze sfery rodzaju,“ że „rozum ludzki posiada tylko wykonawcze znaczenie w usługach instynktu przyrody,“ że ludzkość ani pod względem biologicznym, ani pod etycznym nie wyodrębnia się specyficznie od reszty przyrody, że jednak ze względów praktycznych obowiązki moralne do całej przyrody stosowane być nie mogą. Otóż tezy te, z wyjątkiem ostatniej (w książce 2-iej), są całkowicie metafizyczne i od założeń innych metafizyków różnią się tylko swoją gołosłownością. Język książki jest niedbały. W zależności od przeczeń autor często używa 4-go przypadku, zamiast 2-go, i posługuje się wyrażeniami takimi, jak: „odrębne królestwu zwierząt“ (zam.: od królestwa, str. 15), „nabierają cechę“ (zam.: cechy, str. 28), „służąc środkami“ (zam.: za środki, str. 46), „który byliby wyśmieli cywilizowane narody“ (zam.: byłyby wyśmiały, str. 79), „jeżeli pożądamy jakiś przedmiot“ (zam.: jakiegos przedmiotu, str. 240), „przyglądając się światowi“ (zam.: światu, str. 252) i t. d.

Maryan Massonius.

Od redakcyi.

✱

Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowania na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.

✱

Kwartał I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

NAJWIĘKSZY WYBÓR Ubrań Dziecinnych w Magazynie „JANINY“

MARSZAŁKOWSKA № 151.

Wszyscy lekarze uważają naturalną wodę gorzką

FRANCISZKA JÓZEFA

jako jedyny przyjemny saliniczny środek przeczyszczający, który brany w małych dawkach, działa bezwzględnie pewnie, zawsze rozwalniająco. Na 10 wystawach powszechnych złotymi medalami odznaczona. Jest wszędzie.

Herman i Grossman

16 Mazowiecka 16

Skład Fortepianów, Pianin i Organów.

Wynajem. Sprzedaż na raty.

Warszawa, Petersburg, Moskwa, Łódź, Lublin.

KURSY HANDLOWE ROCZNE
S. Rogulskiego
dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.
KURSY HANDLOWE ROCZNE
S. Rogulskiego
dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.

PRZEPROWADZKI

A. WRÓBLEWSKI i S^{KA}

TREBACKA 13.

OPAKOWANIE

MEBLI